Nr. 25. Poznań, Niedziela 16go Września 1894 r. Rok. I.

# PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
**Redakcya:** Poznań, Bramkowa ul. 7.
**Administracya:** Piekary 7.
**Rękopisów** drobnych nie zwracamy.

**Przedpłata kwartalna** wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

**Ogłoszenia:** 20 fenigów od wiersza petytowego.
**Pojedynczy numer:** w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

**TREŚĆ:**



## POLITYKA.

### Z krajów okupowanych.

pobieżny szkic

napisał

**Wojciech Szukiewicz.**

I.

Do mało spójnego, z różnorodnych żywiołów złożonego organizmu politycznego Austro-Węgier, przybył w 1878 r. nowy dodatek w okupowanych krajach Bośnii i Hercegowiny. Terytoryum to niewielkie, od wieków przeróżnym kolejno wpływom ulegające, przedstawia pod niejednym względem stosunki wysoce ciekawe i poznania godne, ale mało jednakże zbadane. Najmniej znane, bo starannie przed okiem ludzkiem ukrywane, są stosunki powstałe właśnie już po okupacyi. Stosunki te przedstawiają tak zwany drażliwy temat, o którym się ani mówi ani pisze, bo rząd monarchii austro-węgierskiej nie życzy sobie, aby świat zajmował się Bośnią i Hercegowiną. Albo raczej źle się wyraziłem: owszem rząd życzy sobie widzieć w krajach okupowanych jak najwięcej obcych, mianowicie turystów, którzyby zachwycali się niesłychanie piękną przyrodą, podziwiali nowe, doskonałe szosy, koleje, poczty i hotele, a nawet muzeum, byle nie pytali o stan ekonomiczny nowych obywateli konstytucyjnej monarchii. Dlatego też każdy, wybierający się w podróż może być pewny niesłychanej uprzejmości tak centralnych władz w Wiedniu lub Peszcie, jak też krajowych władz Bośnii i Hercegowiny, które bywają z góry o przybyciu takiego — to a takiego uprzedzone. Turysta dostaje się w bardzo czułą opiekę, prowadzą go przez najpiękniejsze części kraju, pokazują co widzenia najgodniejszego, dbają o jego wygodę, ale chronią go od zrobienia znajomości z krajowcami, wejścia do chaty i przyjrzenia się faktycznemu stanowi rzeczy. Każdy turysta strzeżony jest w Bośnii i Herzegowinie jak oko w głowie, musi mieć paszport, chociażby był obywatelem austryackim musi meldować się wszędzie, dokąd tylko przyjdzie i od każdej władzy otrzymać wizę paszportu, jeżeli nie chce oczywiście narazić się na grubą awanturę z żandarmami. Przekonałem się osobiście, jak bardzo każdego obcego pilnują. Zatrzymałem się w Banialuce dwa dni, bo czekałem na list i pieniądze, które spodziewałem się zastać na drugi dzień po przyjeździe. Zapytałem więc telegraficznie, czy przesyłka wysłana i oświadczyłem, że przyjdę po odpowiedź sam, a tymczasem udałem się do mieszkania jednego z urzędników Polaków, do którego miałem list polecający. Zatrzymałem się nie więcej nad półgodziny i wyszedłem oglądać miasto; tymczasem telegram nadszedł. Odesłano go do hotelu, a ponieważ mnie tam nie zastano, przyszedł posłaniec pocztowy do mieszkania owego urzędnika i telegram zostawił. Wiedząc o tem wszystkiem, zaopatrzyłem się w legalny paszport, ale nie zgłosiłem poprzednio swojej podróży, aby władze nie były uprzedzone i zbyt mną się nie opiekowały. Dzięki tej prostej taktyce zetknąłem się z ludźmi nie wielbiącymi rządów austryackich, a którzy mnie o właściwym stanie rzeczy pouczyć nie omieszkali. W ten sposób udało mi się uchylić bodaj częściowo rąbek zasłony, okrywającej położenie Bośnii i Hercegowiny, jakoteż podzielić się zyskanemi wiadomościami z ogółem czytającej publiczności polskiej, która o tych krajach całkiem nie wystarczające posiada wyobrażenie. Dodać tu muszę, że oczywista urzędnicy polityczni pytani milczą, albo przedstawiają okupowane kraje jako prawdziwy raj dla ludności, która rzekomo ma być nowym porządkiem rzeczy niesłychanie zachwycona i z zamiany rządów tureckich na austryackie prawdziwie zadowolona. Wszystko to trzeba atoli przyjmować z wielkiem zastrzeżeniem albo rozumieć wprost przeciwnie. O słuszności tego twierdzenia przekonałem się z kilku drobiazgów, których tu przytoczyć nie mogę ze względu na zainteresowane osoby trzecie.

Z góry zastrzedz się muszę, że nie mam wcale pretensyi przedstawić przedmiotu wyczerpująco, bo na to potrzebaby spędzić na miejscu miesiące całe i wejść w liczne a ciekawe szczegóły, któreby stan rzeczy należycie ilustrowały. Mój pobyt był krótki wprawdzie, ale wystarczył na to, aby zebrać materyał najważniejszy i pochwycić wiernie główne momenty. Artykuł niniejszy więc należy uważać za ramy, za szkic pobieżny, wymagający jeszcze opracowania drobiazgowego i wycieniowania.

Na podstwie odnośnego traktatu nie wchodzi Bośnia i Hercegowina w skład monarchii austro-węgierskiej, znajduje się tylko w jej zarządzie, jak n. p. Egipt w zarządzie angielskim. I z tego to powodu o losie krajów okupowanych nie rozstrzyga ani parlament wiedeński ani buda-peszteński, tylko delegacye wspólne. Zarząd tych krajów spoczywa w rękach ministra wspólnych finansów p. Kalaya który podobno kocha się w Bośnii i Hercegowinie, a dowodem tego jest fakt, że urządził sobie pod Serajewem wspaniały zakład kąpielowy Slidże, dokąd rok rocznie zjeżdża. Zdaje się atoli, że na tem objawy miłości się kończą, bo zresztą wszystko, czegokolwiek się tknąć, jest albo wadliwe i zaniedbane, albo wprost z interesem ludności niezgodne. Ale dość ogólników, przystąpmy do bliższego omówienia.

II.

Dla scharakteryzowania położenia krajów okupowanych wystarczy powiedzieć, że podporządkowany delegacyom wspólnym a właściwie ministrowi p. Kalayowi rząd krajowy, z siedzibą w Serajewie, (niedawnej stosunkowo stolicy kraju, przeniesionej w tym już wieku przez Turków z Tradnika), jest rządem wojskowym, bo na czele stoi generał kawaleryi p. Appel. Ponieważ głowa rządu nie rozumie się zapewne na niczem po za sprawami wojskowemi, przeto dodano mu adlatusa dla spraw cywilnych. Chociaż zaś rząd krajowy składa się z trzech oddziałów: administracyjnego, skarbowego i sądowego, to jednak wszystkie władze są bezpośrednio od politycznej zawisłe i tak jak pan jenerał w Serajewie tak każdy starosta (Bezirksvorsteher) w powiecie jest głową wszystkiego, tak dobrze polityki i administracyi, jak sądownictwa i szkolnictwa. Jeżeli się zaś zważy, że początkowo podoficerowie zostawali starostami, a wiele urzędów obsadzano ludźmi, którzy prawa wcale nie studyowali, to nie trudno pojąć, że rządy te ani dobre, ani dla ludności korzystne być nie mogły. Dzisiaj zmieniło się już wiele pod tym względem na lepsze, urzędnikami zostają ludzie bardziej fachowo wykształceni i odpowiedniejsi, co tylko na korzyść kraju wyjść może. Wobec takiego stanu rzeczy rząd stara się kształcić przedewszystkiem wojskowych, których dużo potrzebuje i dlatego to istnieje w Serajewie niższa szkoła kadecka, będąca kursem przygotowawczym do właściwej szkoły kadeckiej. Wszystkie urzędy pocztowe spoczywają w rękach wojskowych, zostających w czynnej służbie. Dziwne wrażenie na człowieka z Europy przybyłego czynią wojskowi, odbierający i wydający listy, telegrafujący i t. d. Ponieważ sieć kolei żelaznych mało jeszcze jest rozgałęzioną, przeto potrzebne są poczty osobowe; każdego wozu pocztowego strzeże aż trzech wojskowych. od góry do dołu uzbrojonych. Z Banjaluki do miasta Varzar-Vakuf jechałem właśnie pocztą i byłem — bezpieczny. Oprócz wojskowych spotyka się na każdym kroku bardzo czujnych żandarmów, których posterunki rozsiane są po całym kraju; z miasta Houpcy do stacyi kolejowej Jabłonicy szedłem piechotą, był to pierwszy dzień serbskiej, to znaczy prawosławnej Wielkanocy. W pewnej wsi po drodze nagromadziło się w kościele mnóstwo ludzi. Starsi spali po nocnych modlitwach. a młodzież zebrały się za ręce dla zabawy i tańca. Jakiś wyższa

rangą żandarm przechadzał się po szosie i to był pierwszy stróż bezpieczeństwa publicznego w krajach okupowanych, którego moja osoba zaintrygowała. Zatrzymał mnie więc i zapytał o dokumenty podróżne, to znaczy o paszport, który mu natychmiast z wizami przedstawiłem. Kiedy on skończył indagacye, ja zacząłem swoje i dowiedziałem się, że ów pan znajdował się razem z dwoma podwładnymi jedynie z powodu świąt wielkanocnych rzekomo dla tego, że jak sobie lud przy świętach podpije, dochodzi do bójek, które trzeba uśmierzać. Nie ma w tem oczywista ani źdźbła prawdy; rząd austryacki z innych zupełnie, łatwo zrozumiałych pobudek strzeże bardzo pilnie prawosławnych Serbów i nie pozwala nikomu zbliżać się do nich. Wszelkie obce wpływy są bardzo nie na rękę rządowi austryackiemu, który chce koniecznie wytworzyć bośniacko-hercegowińską narodowość, będącą i historycznym i językowym nonsensem. Bośniacy i Hercegowińcy mówią bez wyjątku serbsko-chorwackim językiem i nie pragną wcale odrębności narodowej, co rządowi właśnie bardzo się nie podoba. Ale o tem obszernie poniżej.

Widzimy więc, że okupowane krajne Bośnii i Hercegowiny sprawiają rządowi sporo kłopotu, ale też przynoszą i dużo korzyści. W pierwszym rzędzie Austro-Węgry przeciwstawiają swój wpływ wpływom rosyjskim; następnie obok korzyści politycznych są militarne: Bośnia i Hercegowina dostarcza znacznego kontyngentu wojska: dalej kraje okupowane tworzą nowe rynki zbytu dla przemysłu Austro-Węgier. Nie prawdą więc jest to, co prawią różni urzędnicy polityczni, o dobrodziejstwach Austro-Węgier dla krajów okupowanych, najlepszym zaś dowodem fakt, że Węgrzy nie chcą się zgodzić na kilkadziesiąt kilometrów kolei żelaznej z Banjaluki do Jajca, bo byłoby to najbliższe i najwygodniejsze połączenie Bośnii i Hercegowiny z całą Europą przez Wiedeń, a tak, jak jest teraz, wszystko musi iść linią Brod-Serajewo przez Peszt albo przez Węgry. Z drugiej zaś strony Austrya nie wpuszcza znanego z dobroci tytoniu bośniacko-hercegowińskiego, bo to jest monopolem państwowym. Widzimy więc, że Austro-Węgry wyciągają z krajów okupowanych wielkie korzyści polityczne, militarne i ekonomiczne, a co za to dają, zobaczymy w następnym artykule, w którym wszystkie dobrodziejstwa austryacko-węgierskie okażą się jasno jak na dłoni. Przyjrzyjmy się pobieżnie sądownictwu i administracyi zajętych prowincyi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

## Hrabia Paryża.

Paryż 10 września.

Śmierć hr. Paryża przeszła tu zupełnie niepostrzeżenie. Gazety zaznaczyły wypadek, podając przytem genealogię rodziny zmarłego pretendenta, organa monarchistyczne ukazały się wczoraj w żałobnych obwódkach, kilka bali i polowań odłożono, kilka prywatnych lóż w operze i komedyi francuskiej świecić będzie przez pewien czas pustkami — ot i wszystko! Ta ogólna lodowata obojętność narodu, smutny to objaw dla stronników monarchii, i wcale na przyszłość nie obiecujący.

Zmarły książę, w życiu prywatnem najzacniejszy, najszlachetniejszy człowiek, filozof i uczony, od długich już lat wegetował na wygnaniu, i dlatego to może, że generacyi najmłodszej zupełnie był nieznany, tak bez echa przeszła wiadomość o jego zniknięciu z powierzchni ziemi. Nawet stronnicy jego i przyjaciele przywdziewając na pewien czas rodzaj dworskiej żałoby, w gruncie w śmierci jego nie widzą żadnego powodu do smutku lub rozpaczy. Przeciwnie — z następcą jego do nowych budzą się nadziei. Zmarły hr. Paryża był uważany przez swą partyją za nadto słabego i chwiejnego — za nazbyt passywnego i zrezygnowanego. Zamiast obmyślać zamachy stanu i Francyę otaczać siecią intryg, zamiast przewodniczyć rozruchom i knowaniom wolał wieść życie spokojne, oddane nauce i pracy. Mojem zdaniem brakło mu poprostu przekonania o swem powołaniu *„z bożej łaski“* tak jak hr. Chambord całe życie brakło przekonania w możliwość powrotu Francyi do starych form dawnego rządu.

W pierwszych latach występów swoich hr. Paryża przedstawiał się Francyi, jako człowiek ożywiony pragnieniem wiernego wypełnienia woli ojca swego, młodo zmarłego ks. Orleanu. A testament tego ostatniego tak brzmiał: „Czy hrabia Paryża stanie się jednem z narzędzi złamanych, zanim zostały użyte, czy jednym z twórzycieli tego socyalnego odrodzenia, które dziś dostrzegamy otoczone mnóstwem przeszkód i trudności, czy będzie królem czy nieznanym, skromnym obrońcą sprawy, która nam wszystkim jest drogą, — musi być przedewszystkiem i nadewszystko człowiekiem swego czasu i człowiekiem narodu: niech służy wyłącznie wszelkiemi siłami Francyi i *Rewolucyi*.“ To też, gdy się hr. Paryża wybrał za czasów swej pierwszej młodości do Ameryki, by tam walczyć w szeregach sfederowanych przeciwko stronnikom niewolnictwa, gdy potem po powrocie z Ameryki, oddawszy się piśmiennictwu, pióro swe poświęcił wyłącznie kwestyi socyalnej, gdy wreszcie 1871 r. w liście otwartym publikował, że nie uważa się ani za monarchę, ani za pretendenta — postępował tylko w duchu ojca. Powoli jednak, ulegając pressyi otoczenia, a zwłaszcza wpływom energicznej, ambitnej żony, marzącej o koronie dla syna, postępowanie swoje zmienił. — Moralne podobieństwo do ojca, zacierało się w nim coraz więcej — i coraz wybitniej występował w nim duch dziadka, Ludwika Filipa. Tak jak Ludwik Filip nie zawahał się zaprzeć swej własnej przeszłości i przeszłości rodziny swojej, nie zawahał się poświęcić przyjaciół, zapomnieć o swych dawnych przyrzeczeniach i deklaracyach, by przygotować w własnych widokach restauracyę tej monarchii, którą dawniej uważał nietylko za niepotrzebną ale nawet szkodliwą — tak też hr. Paryża w r. 1873 zaparł się tradycyi rodzinnych, by pojednaniem z hr. Chambord zapewnić sobie sukcesyę tronu. Ta sławna scena pojednania w Frohsdorf okazała się błędem politycznym. Przedtem hr. Paryża stał na czele tej części narodu, która pragnęła za każdą cenę pokoju, porządku i stałości formy rządu, a pragnienie swe godziła z przekonaniami republikańskiemi uważając za ideał angielski ustrój państwowy t. j. Republikę prezydowaną przez króla. — Wystąpieniem swojem w Frohsdorf w roli pretendenta do tronu Burbonów stracił naturalnie całą tę przychylną partyę, a i skrajni orleaniści odsunęli się od niego za złe mu biorąc ten wymierzony tradycyom rodu policzek. Na miejsce straconych stronników i ostygłych przyjaciół — legitymistów nic pozyskał. Tym znowu, wiernym białej chorągwi, nie pilno było schylić czoła przed potomkiem księcia renegata, głosującego bratobójczo za śmiercią króla, krewnego swego.

To namówione, nieodwołalne a tak niefortunne wystąpienie hr. Paryża odebrało mu wszelką ochotę do dalszej działalności politycznej. Zamieszkując z żoną i dziećmi po części Anglię, a w części Hiszpanię, gdzie chętniej jak w Anglii przebywał, trzymał się o ile możności z daleka od intryg stronniczych. Manifesty i listy przysyłane od czasu do czasu, na ręce hrabiego d'Haussonville, szefa partyi orleanistycznej i drukowane w monarchistycznych pismach, redagowane były zawsze za namową hrabiny Paryża, i nieraz wychodziły z pod jej ręki. Ona to była w końcu duchem stronnictwa, a wpływ jej ujawni się również obecnie po zgonie hr. Paryża, bo syn się temu wpływowi całkowicie poddał. Młodego ks. Orleanu, już dzisiaj podpisującego się tout court „Philippe“, zna Paryż lepiej, ni

---

9)

# MOGIŁA.

## LISTY I NOTATKI

### MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

24 stycznia.

Miałem zamiar list poprzedni uzupełnić i wręczyć Rogowiczowi, którego spodziewałem się dopiero za dni kika. Tymczasem on dziś przyjechał i oddał mi paczkę. Znalazłem w niej kurs gieometryi i *mirabile dictu*, — wszystkie listy, jakie stąd pisałem do Ciebie, wszystkie, od pierwszego do ostatniego. Początkowo myślałem, że włożyłeś je przez nieuwagę i chciałem Cię mieć za niewinnie roztrzepanego pokrakę. Tymczasem — na marginesie kursu znalazłem Twoją ręką pisane następujące wyrazy: „Nie powtarzaj za drugimi zdań oklepanych. Wszystko a wszystko trzeba sprawdzać w życiu... Nie zapomnij o mnie.“ To jest rzeczywiście zabawne! Czy Ciebie Janeczku, główka nie boli po całych dniach w okolicy ciemienia, czy nie doświadczasz mocnych zamgleń zmysłów, które i tak odznaczały się wiekuistem osłabieniem? Rogowicz mówił, że byłeś roztargniony, że kazałeś mu, aby mię ściskał i całował w Twojem imieniu. Ja tu akurat omdlewam z żalu, umieram z tęsknoty bez Twoich pocałunków. Napisz, mówię, co to znaczy. Rogowicz będzie u Ciebie jeszcze w tym tygodniu.

*M.*

---

4 lutego

Wczoraj odbrałem kartkę od Rogowicza. Naznaczył mi spotkanie za miastem, na szosie siedleckiej. Tam mi powiedział w największej pasyi, że posyłałem go na oczywistą zgubę, bo Janek w tych dniach został . . . schowany. Da liegt der Hund begraben...

---

5 lutego.

A więc Ciebie, Janku, już niema... Izbę twoją wymieciono i zdołano zapewne wynająć komu innemu, książki, poduszkę, siennik i korepetycye, udzielaniem których na chleb zarabiałeś, rozchwytano — i zapomnieli o Tobie dobrzy ludzie, jak się zapomina o trupie, wyniesionym z domostwa i zakopanym w ziemi. Sic transit gloria mundi, mój mały! Szkoda mi tylko starej... Jeżeli ja, obcy, tak wyraźnie słyszę jej płacz, to jakże on się musi rozlegać w Twojem synowskim sercu! Z czego to biedactwo żyć będzie? Wiedziałem dobrze, choć to starannie przedemną taiłeś, że jej posyłasz połowę pieniędzy, zarobionych na burżujskich korepach. Co to zresztą gadać!... Powiadają, że t. z. altruizm jest zamaskowanym egoizmem, że go wcale nie ma. Gadanie... Ja starą Twoją matkę, z którą rozmawiałem ze trzy razy w życiu — poprostu na jawie widzę. Widzę jak siedzi w oknie i trzęsie się nie od płaczu, ale od tego bólu, którego małą cząsteczkę, niejaką pobiznę ja w sobie czuję.

Miała syna... I dla czego, na mocy jakiego prawa go zabrali? A na mocy takiego prawa, że miał duszę tak czystą, jakby się narodził ze łzy Chrystusa, wylanej w żalu nad wszystką przeszłą i przyszłą nędzą i krzywdą, nad wszelkim uciskiem tego świata, — na mocy takiego prawa, że to był facet, który mógłby się był stać zaszczytem swego pokolenia, gdyby wszystkie potęgi jego niezwykłego umysłu znalazły wsparcie i oręż w nauce przezeń obranej, — na mocy wreszcie takiego prawa, że był źdźbłem leczniczej trawy, stojącej na drodze pochodu barbarzyńców.

Możesz, osierocona babino, płakać tak dłu-

śni czarodziejskiej w rzeczywistość zaklęte doliny. Jest w tatrzańskich poezyach Tetmajera wiele piękności i wdzięku, ale czasem razi mnie sztuczna instrumentacya, jakiś jeden przykry rozdźwięk i zimne kolory. Tyle tam słów silnych, tyle tonów miękkich jak aksamitne szarotki lub twardych jak głazy tatrzańskie, tyle tęcz. mgieł i plam złotych, tyle szmaragdów, błękitów i wód szumiących, tyle groźnej muzyki i pieściwych melodyi, a mimo to czegoś mi tam brak — może wielkiej miłości. Wolę nieomal tatrzańskie sonety Nowickiego, nie dla tego, że jest w nich misterne połączenie motywów społecznych z poezyą gór naszych i nie dla pięknej obrazowości tych utworów, ale dla tego, że młody poety znalazł duszę w kamiennych olbrzymach i tak się przed nią ukorzył, tak wyskarżył serce jak przed ukochanym druhem-towarzyszem. U Tetmajera zjawia się ta łączność ludzka, te dusz zaślubiny w niewielu poezyach. a wtedy zdaje mi się chwilami, że słyszę niby lekką reminiscencyę, niby coś z melodyi Nowickiego.

Wogóle spotykałem nieraz w ślicznych arabeskach utalentowanego liryka obce drobiazgi. W muzyce jego brzmiały mi niekiedy tony znajome, — gdzieś już zachwycone i zapamiętane. Jakiś zwrot, jakiś obraz, jakieś wiązanie uderzały mnie fizyonomią cudzą, — ale nie chciałbym, aby w tej krytycznej uwadze wyczytano zarzut jakiegośkolwiek naśladownictwa. Takie drobiazgi zaplątać się mogą mimowolnie w utwory najpotężniejszych i najoryginalniejszych talentów. a jeżeli podniosłem tu kwestyę dalekich reminiscencyi. to jedynie dla tego. aby zaostrzyć ostrożność autora i spotęgować kontrolę wyśpiewanych utworów. Umysł Tetmajera jest tak bogato uposażony. że z obcej skarbnicy czerpać nie potrzebuje. Tam nawet. gdzie *charakter* lub *kierunek* jego poezyi wykazuje obce wpływy i szkoły, tam talent ten tworzy orginalnie, tam z cudzego instrumentu własne i silne wydobywa tony. Taki *„List Hanusi“* n. p. nosi na sobie piętno Beniowskiego ale ileż tam piękna nowego, — jakież to cacko misterne, urobione w stylu Juliusza. Albo ta fantazya dramatyczna *„Sfinx“*, owiana Maeterlinkowskim mistycyzmem! Jeden zwrot fałszywy, jedno niezręczne pociągnięcie pędzla mogło na przedziwną tragedyą chorej dziewczyny rzucić cień niesmaku i legendowe oblicze utworu wykrzywić sztucznym grymasem. A przecież z tej muzyki nerwów starganych, z akordów szalejącej natury, z szumu drzew i dreszczów srebrnego jeziora płynie ku nam tajemnicze tchnienie i oplata nas pajęczyną nieznanych dziwów i misteryi. Żadnego rozdźwięku! To blade dziewczę, muskane ptaków nocnych skrzydłem, rozkołysane melodyą fal i czujące śmierć pełzającą po kielichach kwiatów, ten ksiądz, mówiący o liliach, gdzie stopy swoje oparła matka Chrystusowa, ten żeglarz obcy, żądający gościny wśród burzy, ten straszny kaleka bez słuchu, bez mowy, bez wzroku, odurzający się zapachem kwiatów, piastujący w duszy świat pragnień tajemniczych, jakąś wielką tęsknotę, wielką miłość i wielką nienawiść, — wszystko to wiąże się w baśń czarodziejską, utkaną z półmistycznych i półrealnych instynktów i zdarzeń, a sięgającą w takie dusz głębiny, których nie zgłębiło jeszcze „mędrca szkiełko i oko“.

Prześliczny zbiorek poezyi! W „Preludyach tylko jest kilka banalnych drobiazgów, które przez niezrozumiały dla mnie kaprys poety tu się zabłąkały; p. Tetmajer w drugiem wydaniu koniecznie usunąć je powinien. Książka straci wtedy na objętości, ale wartość jej artystyczna urośnie niewątpliwie.

*Dr. Władysław Rabski.*

# Szkoła i wychowanie.

**Wychowanie narodowe.**

(dokończenie.)

III.

Nie zmuszać, lecz zachęcać — nie napominać, lecz zainteresować i zamiłowanie do pracy obudzać należy — a nie mogąc dzieci skłonić do wykonywania tego, czego nie lubią — trzeba wpłynąć na nie najpierw, aby polubiły to, do czego je skłonić chcemy.

Pod tym względem polska natura dostarcza sama cennego materyału równoważącego jej niedostatki.

Jesteśmy narodem niekarnym i niewytrwałym — lecz jesteśmy zarazem narodem zdolnym, wrażliwym, zapalnym i bystrym. — Nielubimy wprawdzie pracy jako pracy, prawa, jako prawa, obowiązku jako obowiązku — ale pewne rodzaje pracy umiemy wykonywać z zamiłowaniem, pewne rodzaje obowiązków i praw ukochać możemy ze względu na ich cel dla nas drogi.

Jeżeli więc w dzieciach naszych obudzą się zdolności i zapał w pewnym, kierunku nie powinniśmy go krępować, lecz wyzyskać i zamiast narzucać naturze swoje prawa i na glądy pozwolić jej pracować na drodze, po której najlepsze osiągnąć może rezultaty. — Jeźli Niemiec np. syna mającego zamiłowanie specyalne do historyi, filozofii, lub muzyki — przeznaczy do kupieckiego zawodu, innego mającego gust do rolnictwa zrobi adwokatem, to może jednak liczyć na ich zmysł praktyczny i ufać, że raz chwyciwszy się danego zawodu będą się starali usilnie w nim się wydoskonalić i jak największe zyski z niego ciągnąć.

My jednak polegać na tem nie możemy; polska natura mniej jest karna, uległa i mniej wyrachowana, to też Polak, który synowi zawód jakiś narzuci, jeźli mu zupełnie życia nie zwichnie — w każdym razie pewien być może, że mu do podniesienia się ponad poziom miernoty stanowczo drogę zagradza·

Iluż to między nami jest ludzi wykolejonych, którzy z niechęcią pchają taczkę codziennych obowiązków marząc o tem, aby ją rzucić z chwilą, gdy troska o chleb gnieść ich przestanie i chwycić się umiłowanej niegdyś pracy, — do której wreszcie zabiorą się za późno i bez odpowiedniego przygotowania.

Zapewne nie można uwzględniać zmiennych kaprysów dzieci — ale należy się liczyć ze stałemi skłonnościami. Dla tego też warto zawsze projekta młodzieńcze wystawiać na próbę, nie dowierzać im i nie aprobować ich, póki się nie ustalą na dobre i po pewnem wahaniu udzielając przyzwolenie na własną odpowiedzialność dzieci — wzbudzić w nich ambicyą, aby czynami dowiodły nam słuszności swych żądań.

Gdzie chodzi o przyszłość i rozwój młodego pokolenia osobiste plany i projekta rodziców zejść muszą na plan drugi.

Powinni oni pamiętać, że pracy każdej wartość i znaczenie polega na zdolnościach i energii pracującego, że zdolny kowal pożyteczniejszym jest członkiem społeczeństwa niż lichy profesor, a utalentowany malarz większe ma zyski ze swej pracy niż niedbały agronom lub leniwy kupiec.

I towarzyskie i ekonomiczne i społeczne względy przemawiają za tem, aby każdy wykonywał tę pracę, do której specyalne ma zdolności i zamiłowanie.

Jeżeli jednak błędem jest nadmierne krępowanie dzieci i niepotrzebne narzucanie im swej woli — nie mniejszym jest zapewne zbyteczne im uleganie.

Chwiejność i niestałość ich charakterów powinna znaleźć przeciwwagę w konsekwencyi i stanowczości naszego systemu.

Chcąc zwyciężać ich kaprysy nie narzucajmy im swoich; niech mają to głębokie i na

---

Tak. tak — zaczyna znowu profesor — gdyby te kobiety nie były takiemi gąskami, to możnaby o ożenku pomyśleć, ale dziękuję mieć w domu taką przeklętą geś!

Potocki kiwa znowu głową i uśmiecha się dobrodusznie; nie rozumiał widocznie słów przyjaciela i powtarza znowu:

— Ja miałem żonę i byłem bardzo szczęśliwy!

— I krzyk dzieci, i mokre pieluchy rozwieszone przy piecu, — mówi profesor dalej — i kucharki i służące! Nie, dziękuję! Bo i w nocy nie ma pewnie spokojnej chwili.

— Ho, ho, — kończy Potocki.

— Pan Potocki mówi „ho ho“, odzywa się księgarz ze złośliwością starego kawalera, który się cieszy, słysząc, że człowiek żonaty wyraża się niekorzystnie o małżeństwie.

— Co ja mówię? — pyta wdowiec, nierozumiejąc, o co chodzi.

— Ho, ho! — powtarza po nim księgarz i wspólna ta rozmowa skończyła się wspólnym wybuchem śmiechu i chmurą dymu z cygar.

Tymczasem zegar wskazuje dwunastą. Fortepian na górze, na którym ktoś poprzednio bardzo głośno towarzyszył mieszanemu chórowi, milczy teraz, bieganie kelnerów z kuchni na werandę już się skończyło — gospodarz zapisuje w swojej książeczce ostatnie butelki szampana, których żądano na górze — gaz pali się coraz ciemniej, gdzieniegdzie gaszą go już zupełnie i trzej przyjaciele podnoszą się i wychodzą — każdy z nich kładzie się w swoje nieskalane, kawalerskie łóżko — księgarz zaś marzy o Stawie!

---

Mając lat dwadzieścia przerwał profesor Blom swoje studya w Upsali i przyjął w Stokholmie miejsce nauczyciela. Obok tego dawał lekcye prywatne, i miał dobre utrzymanie, nie wymagał bowiem zbyt wiele od życia. Porządek i spokój — to mu wystarczało zupełnie, W swoim pokoju na Ladugartslandet, wynajętym od jakiejś starej panny, miał jedno i drugie, a nawet więcej jeszcze — doznawał bowiem troskliwej opieki i uprzedzającej grzeczności; całe przywiązanie do rodu męzkiego, jakiem przyroda serce tej starej panny obdarzyła, dostało się jemu w udziale i to za darmo. Panna Augusta poświęcała się dla niego! Ale on, straciwszy wcześnie matkę, nie był do tego przyzwyczajonym, aby taką opiekę przyjmować bez wynagrodzenia, to też uważał ją nieomal za ograniczenie swej osobistej wolności. Znosił jednak wszystko cierpliwie. Restauracya była jego prawdziwem mieszkaniem — tam płacił za wszystko, co otrzymywał i nikomu nie był dłużnym.

Urodzony w małem prowincyonalnem mieście, nie znał nikogo w Stokholmie. Nie pragnął też znajomości. W domach prywatnych nie bywał wcale — w winiarni tylko spotykał znajomych — rozmawiał z nimi, ale zaufania nie miał do nikogo. Zajęcie jego w szkole, gdzie tylko w trzeciej klasie udzielał lekcyi, wywierało na nim takie wrażenie, że uważał się sam za człowieka zacofanego w umysłowym rozwoju. Wszakże on także przeszedł trzecią klasę, siódmą, i był akademikiem, teraz zaś siedzi znowu w trzeciej klasie — siedzi już lat dwanaście i nie ma widoków, aby z niej kiedykolwiek wyszedł!

Tylko drugą i trzecią księgę Euclidesa wykłada w trzecim kursie. A więc całe jego życie jest tylko fragmentem bez początku i końca — drugą i trzecią księgę Euclidesa! W wolnych chwilach studyował archeologyą i gazety. Archeologia jest modną nauką, możnaby nawet powiedzieć, że jest chorobą czasu. A jest ona niebezpieczną, bo po największej części jest jasnym dowodem, że głupota ludzka prawie zawsze jest tą samą.

W gazetach widział tylko partyą szachów — polityka była dla niego zajmującą grą o króla - niczem więcej — był bowiem wychowanym tak, jak wszyscy inni, t j. był przekonanym, że wszystko, co się w świecie dzieje, nie powinno obchodzić nas, tylko tych, którzy posiadają potęgę i panują nad nami. Ten spo-

prawdzie oparte przekonanie, że wszystkie nasze żądania i postanowienia są wyrozumowane, logiczne, stałe i niezłomne — nie płyną z przelotnej fantazyi, nie są wynikiem chwilowego humoru, lecz bywają tylko szczegółowem zastosowaniem ogólnej, uznanej przez nas zasady. Nic tak nie wyrabia lekkomyślności w młodym wieku jak ciągła niepewność i zmienność wychowawczego systemu, nic tak nieprzyzwyczaja do poszanowania i uznania praw, jak wiara w ich stałość i głębokie przeświadczenie, że ten sam czyn zawsze te same wywoła następstwa.

W oczach dzieci rodzice i wychowawcy nie powinni być panami o władzy nieograniczonej i niepodlegającej krytyce ni kontroli — lecz sumiennymi wykonawcami praw moralnych, które sami szanują.

Stosunek dzieci do nich nie na ślepem posłuszeństwie i bezgranicznej uległości, lecz na szacunku i zaufaniu polegać powinien. — System taki nietylko praktycznie bez porównania lepsze wydaje rezultaty, nietylko dla tego polecenia jest godnym, że dzieci od lekkomyślności uchronić i do karności nagiąć może — lecz i pod względem etycznym stanowczą ma wyższość — a lecząc młode polskie pokolenie z wad narodowych, sprzyja zarazem rozwojowi cennej narodowej zalety.

Wiemy, że od wieków nie zasiadał na tronie polskim żaden despota, że w epoce najświetniejszego rozkwitu absolutnej monarchii, w Polsce władzę królewską ograniczono, a głowa koronowana, choć otoczona szacunkiem nigdy nie budziła strachu, grozy, czołobitnych hołdów, służalczej uległości i niewolniczej pokory. — Ztąd też w naturze polskiej nie ma skłonności do serwilizmu i pochlebstwa, nizkich intryg, których szkołą były zagraniczne dwory.

Dzięki temu rozwinęła się u nas wcześniej niż gdziekolwiek miłość swobody prawie republikańska, niepodległość zdania i godność osobista. Wszelka niewola poniża i demoralizuje; owocem stuletniego jarzma są objawy serwilizmu pojawiające się tu i owdzie na naszej ziemi — objawy wstrętne i naturze polskiej, polskim obyczajom i pojęciom przeciwne. — Jestto rodzaj zarazy, która grozi wszystkim ujarzmionym ludom i nieraz ród olbrzymów w karłów zamienia. — (Obrazem takiego skarłowacenia są np. nowożytni Grecy w zestawieniu ze swymi wielkimi przodkami). Dziś jeszcze choroba ta do zastraszających nie doszła rozmiarów i dla tego nie wielu sprawę z niej sobie zdaje — a jednak lepiej zapobiegać jej wcześnie, gdy poczucie godności dość jeszcze silne i żywotne, niż czekać, aż ta cenna duchowa po ojcach spuścizna zupełnej ulegnie zagładzie. Dla tego też właśnie w kierowaniu młodem pokoleniem unikać należy wszelkich objawów despotyzmu; nigdy nie budzić w nich *strachu* — nigdy nie pozwolić im liczyć na *łaskę*. — Niechaj czują, że poniżeniem jest wszelka jałmużna, a jałmużną wszystko dobre, co niezasłużenie na nas z rąk innych spływa, czego nie zarobiliśmy i nie wywalczyli sami. Dziecko, które w szkole pochlebstwem lub prośbą wyłudzi nagrodę, promocyą lub dobry stopień — w dalszem życiu również pochlebstwem, poniżeniem, serwilizmem o tytuł, order lub urząd dobijać się będzie. Wpajajmy więc w wychowańców to przekonanie, że o własnych siłach wszystkiego dorabiać się muszą, że powodzenie sobie powinni zawdzięczać, a od drugich jedynie sprawiedliwości domogać się mają prawo. — Na tem przekonaniu polega poszanowanie praw, poczucie obowiązku i godność osobista, — cnoty, których w pierwszym rzędzie naszym przyszłym obywatelom potrzeba.

Gdyby mi przyszło równie szczegółowo rozbierać wszystkie rysy składające moralny wizerunek współczesnego Polaka — praca moja przerosłaby o wiele rozmiary zakreślone.

Że tego rodzaju szczegółowa analiza na licznych doświadczeniach i pilnej obserwacyi oparta — miałaby wielką dla pedagogów wartość i dałaby im niejedną cenną wskazówkę, — o tem chyba wątpić nie można. Baczne wejrzenie w sprawę przekonały ich, jak przy umiejętnym systemie wychowawczym niejedna wada w zaletę zamienić się może, — jak przez niedbalstwo lub nietakt wychowawców dobre nawet skłonności smutnych wad stają się źródłem. — Nasze narodowe t. zw. cnoty — gdy są źle zrozumiane i stosowane, tyleż nam szkodzą, co wady narodowe. Gościnność staje się nieraz pokrywką próżniactwa i lekkomyślności, wspaniałomyślność i dobre serce przechodzą w nieopatrzność i niedołęstwo — a ambicya u ludzi bez charakteru i kierunku wyradza się w próżność, pyszalkostwo i blagę.

Nie omylę się pewno twierdząc, że wszelkie reformy społeczne od reform wychowania zaczynać i na nich opierać należy, — że bez nich będą one bezowocne i do żadnych nie doprowadzą rezultatów. Zmieniajmy prawa, urządzenia, zasady — twórzmy nowe instytucye — wszystko to nie usunie ani jednej biedy — nie ulży ani jednego cierpienia, jeśli ludzie zawsze tacy sami pozostaną, żadnej wady się nie pozbędą — żadnego nie wykształcą w sobie przymiotu.

Wychowanie urabia charaktery, a charaktery tworzą historyą narodu. — Pedagog, który szczerze społeczeństwu swemu służy, potrzeby jego bada i wśród pracy swojej nigdy rajdalszych jej celów z oczu nie traci, który dążności swe obywatelskie, w serca wychowańców przelać usiłuje — z chlubą przyznać sobie może, że pod gmach narodowej przyszłości fundamenta zakłada.

*J. Moszczeńska.*

---




## LISTY Z WYSTAWY.

### VIII.

Po przykłady względnego dobrobytu nie potrzebujemy nawet chodzić zbyt daleko. „Z pomiędzy odpowiedzi, któreśmy otrzymali — pisze prof. C. — zwracają na siebie uwagę trzy, które podają sposób żywienia się ludu w miejscowościach zamieszkałych przez kolonistów. Już na pierwszy rzut oka uderza tu odmienny stosunek procentowy ludności biedniejszej do bogatej. I tak w kwestyonaryuszu z gminy Kranzberg p. Samborskiego znajdujemy, że najzamożniejszych jest 9 domów, mniej zamożnych 26, ubogich 28.

W gminie Felizienthal p. Stryjskiego bogaci stanowią 20 procent, średnio zamożni 60 procent, najbiedniejsi 20 procent. W gminie Wiesenberg p. Żołkiewskiego najzamożniejszych ma być 10 proc., a ubogich tylko 5 proc., podczas gdy w kwestyonaryuszach z całej niemal Galicyi podają jednozgodnie, że liczba ubogich dochodzi blisko do połowy wszystkich mieszkańców. We wszystkich tych trzech koloniach *wszyscy* jadają 3 razy dziennie.

Śniadanie słada się z mleka z chlebem, zupy z mąki pszenicznej, żytniej lub kukurudzianej, zabielanej słodkiem lub kwaśnem mlekiem, czasem znów z ziemniaków pieczonych lub gotowanych z mlekiem; ubożsi używają ścieranki, zupy kartoflanej lub mamalygi.

Obiad składa się u najzamożniejszych w dni zwykłe *zawsze* z dwóch potraw, z których jedna jest mięsna; w dni zaś postne z zupy kartoflanej, pierogów, klusek, knedli i t. d.; u uboższych z zup różnego rodzaju.

Tak w lecie jak w zimie wszyscy bez różnicy prawie używają dość dużo mleka szczegól-

---

sób oceniania rzeczy napełniał duszę jego spokojem nie zaczepiał też nikogo i jego samego nikt nie gniewał. A jeżeli zdarzyło się coś, podług jego zdania, niedorzecznego, to pocieszał się tem, że i sam djabeł nie dałby sobie czasem rady. Wychowanie wytworzyło z niego samoluba — z katechizmu zaś nauczył się wierzyć w to, że temu wiedzie się dobrze w życiu, kto swoje obowiązki sumiennie wypełnia. Więc pelnił też bez nagany swoje obowiązki nauczycielskie: nie przychodził nigdy za późno na lekcye, nigdy nie był chorym, a życie jego prywatne było bez skazy. Pieniądze za mieszkanie płacił punktualnie, nie jadł nigdy na kredyt i raz na tydzień odwiedzał jakąś dziewczynę. Ale do tego nie przyznawał się nigdy. Życie jego biegło jak kolej żelazna po gładkich relsach — podług wskazówek zegara z wyznaczonemi stacyami, i jak człowiek rozsądny unikał wszelkich możliwości wykolejenia się. O przyszłości nie myślał wcale, bo prawdziwy samolub nie sięga myślą tak daleko dla tej prostej przyczyny, że przyszłość nie należy dłużej do niego, jak dwadzieścia lub trzydzieści lat. I tak płynęło jego życie, ciche i spokojne.

---

W dzień św. Jana, rano, świeciło słońce tak jasno i pięknie, jak tylko sobie mieszkańcy stolicy życzyć mogli. Profesor leżał jeszcze w łóżku i studyował sztukę wojenną starych Egipcyan, gdy panna Augusta przyniosło mu kawę. Ku uczczeniu święta upiekła wybornego chleba szafranowego, ułożyła zgrabne skibki na talerzu i dodała jeszcze kilka ciastek. Oprócz tego postawiła dnia poprzedniego za piecem ogromną gałęź topolową, w spluwaczkę nasypała świeżego piasku i włożyła kilka kwiatów, a w szklance stojącej zawsze na stoliku pod lustrem umieściła bukiet białych lilii.

— Nie pójdzie pan dziś na przechadzkę — dziś w dniu św. Jana? — zapytała, spoglądając na ozdoby, jakiemi przybrała pokój, a za które spodziewała się co najmniej kilka słów uznania.

Ale profesor nie zauważył wcale tych pięknych ozdób i odpowiedział krótko:

— Nie. Wiesz dobrze, panno Augusto, że ja wycieczek nie lubię. Nie chcę, aby mnie małe dzieci zakrzyczały i zadusiły na śmierć!

— Ale w mieście nie można przecież w takim dniu pozostać. Niech pan profesor idzie chociaż do Zwierzyńca.

— To już byłoby ostatniem, cobym uczynił — mianowicie dziś, gdzie wszyscy tam siedzą z całem gospodarstwem. Nie, tu w mieście jest mi bardzo dobrze, i życzyłbym sobie tylko, aby się te wieczne święta raz już skończyły.

— Kochany panie profesorze — rzekła stara panna — są ludzie, którzy twierdzą, że wśród tylu dni roboczych, jest jeszcze za mało świąt. A jeżeli pan sobie czego życzysz odemnie, to proszę mi zaraz powiedzieć, o dziesiątej bowiem wyjeżdżam z moją siostrą do Manafred i wracam dopiero wieczorem.

— Życzę ci przyjemnej zabawy panno Augusto — nie potrzebuję niczego i dam sobie sam radę. Gdy w południe wyjdę na obiad, może kucharka posłać łóżko.

Po odejściu starej panny wypił kawę, zapalił cygaro, studyował dalej sztukę wojenną starych Egipcyan i leżał cicho w łóżku.

Lekki, ciepły wiatr poruszał otwarte okno — świąteczna cisza panowała dokoła. Ale z uderzeniem godziny ósmej odezwały się dzwony na kościele Ladugardsland, a dzwony kościołów: Maryańskiego, św. Katarzyny i św. Jakóba, zaczęły im natychmiast wtórować. Mogło to nawet i poganina doprowadzić do rozpaczy. Zaledwie dzwony ucichły, zagrał na jednym z parowców w porcie Nybro, sextet muzykalny wesołego kadryla. Profesor wił się na łóżku, byłby chętnie wstał i zamknął okno ale było mu za gorąco w małym, dusznym pokoju. Na rynku Karola XII odezwały się trąby i bębny — na innej znowu ulicy grał kwintet chór myśliwców z „Wolnego Strzelca“.

Ale najbardziej zbliżały się owe trąby i bębny z Rynku. Byli to strzelcy, którzy odby-

nie kwaśnego, a jeśli w zimie mają mniej mleka, to za to częściej jadają wieprzowinę.

W Wiesenburgu tak zamożniejsi jak mniej zamożni oprócz potraw mięsnych używają legumin i rozmaitych potraw z jarzyn i ziemniaków, zarówno w zimie, jak w lecie. Wieczerza we wszystkich tych gminach także jest pod względem jakości o wiele lepszą, niż u naszych wieśniaków. Oprócz bowiem potraw mięsnych lub ziemniaków z mlekiem wspominają odpowiedzi o herbacie, wogóle jedzą mniej więcej to samo na wieczerzę, co i na śniadanie. Wszystko to świadczy że żywienie się kolonistów jest o wiele lepsze, niż ludności naszej.

Różnica ta jednakże występuje jeszcze wyraźniej na ich korzyść, jeżeli porównamy ilości spożywanego przeciętnie mięsa u nich i u nas.

Wprawdzie o średniej konsumcyi mięsa naszego chłopa bardzo trudno sądzić na podstawie tego materyału, któryśmy mieli w ręku, jednakże już z tego faktu, że koloniści przynajmniej *dwa razy w tygodniu* (podług odpowiedzi) t. j. we czwartki i w niedziele jadają mięso — należy wnosić, że ilość przeciętna musi tu być znacznie większą niż tam, gdzie mięso zjawia się 6 razy do roku!“

Że byt szczęśliwych mieszkańców Felizienthalów i Wiesenbergów galicyjskich nie jest jeszcze ideałem dobrobytu — to chyba każdy zrozumie. Tem bardziej wszakże uderza kolosalna różnica pomiędzy tą znośnie ludzką egzystencyą niewybrednego wogóle Niemca, a bytem gorzej niż zwierzęcym, bo patologicznym, włościanina polskiego. Tam przynajmniej niema mowy o zupie „*wodziance*“, która się tworzy z przegotowanej wody, zaprawionej solą, nadewszystko zaś nie wchodzą w skład jadła odpadki, trzony grzybów, nadpsute kartofle i chory drób...

* * *

Może ktoś zarzucić, że dane te, jakkolwiek oparte na materyale życiowym, przeszły jednak przez alembik rozumowań prof. Cybulskiego, a później jeszcze korespondenta i stąd mogły zabarwić się na czarno? Profesor Cybulski starał się zaradzić wszelkiej nawet bezwiednej stronniczości w zbadaniu kwestyi. W tym celu rozesłał prócz wyżej przytoczonych kwestyonaryjuszy drugie z prośbą o dokładne zanotowanie wszystkich potraw używanych w danej rodzinie w ciągu jednego tygodnia. Kilka z tych odpowiedzi przytacza w oryginale. My skorzystamy z odpowiedzi J. Boka, wójta w Gręboszowie, człowieka powszechnie dziś znanego w Galicyi.

„Powiat Dąbrowa, miejscowość Gręboszów. Nazwisko gospodarza Janas Jan — członków rodziny 9 (dorosłych 7, dzieci 2). Rodzina ta jest średnio zamożna, tak rodzice, jak dzieci są rosłe i zdrowe. Pokarmy tu zapisane były w wielkim poście i wczasie kiedy mleka prawie brak zupełny. W lecie używa ta rodzina więcej nabiału. Zaznaczam, że kawa, herbata w tym domu nie postała nigdy; świni nigdy nie biją na zjedzenie“. Następuje dalej charakterystyczna tablica całodziennego pożywienia 9 osób w ciągu tygodnia, którą redukujemy do następnych danych: jadano 3 razy dziennie jak następuje w ciągu tygodnia:

Chleb 12 razy 27 klg., ziemniaki 6 razy 26 klg. kasza 5 razy 23 litr. (1 z serwatką, 1 z mlekiem), kapusta 8 razy 16 litr., fasola 2 razy 3 i pół litr., kluski 4 razy 19 litr. (jedne z makiem, drugie z mlekiem), barszcz 7 razy 34 litry.

Pożywienie Jana Janasa jakkolwiek mało urozmaicone nie jest jeszcze najgorsze pod względem ilościowym. Pamiętajmy jednak, że rodzina ta należy do owych 35 procent średnio zamożnych, którzy „odpadki kapusty swojej sprzedają biedniejszym do kiszenia“, pamiętajmy, że biedniejsi stanowią 50 procent ludności i co najważniejsza, że wójt Bojko nie podaje, ile w tych 26 klg. ziemniaków było owych „nadpsutych“...

* * *

Jeżeli porównamy wyniki badań prof. Kleczyńskiego z r. 1881, dane p. Szczepanowskiego z r. 1888 i wreszcie dane prof. Cybulskiego z r. 1894, to znajdziemy nie bez zdumienia, że byt ludu pod tą ostatnią datą przedstawia się *najgorzej*. Prof. Kleczyński dużo się cieszył z powodu, że było za jego czasów już lepiej niż przed rokiem 60tym — stąd pewna naiwna radość z powodu np. używania kawy lub wina w niektórych powiatach. Pan Szczepanowski podawał same tylko cyfry: te jakkolwiek smutne, nie dawały jeszcze wszystkich cieniów tej ważnej sprawy. Jeżeli więc dane prof. Cybulskiego skłaniają do smutniejszych refleksyi, to nie dla tego, żeby byt ludu galicyjskiego w czambuł się pogorszył, lecz, że metoda badania wszechstronniej, głębiej pozwoliła, że tak powiem, zajrzeć do garnka przy wieśniaczem ognisku. I ujrzeliśmy, że na 310 klg. Szczepanowskiego jest tam sporo „nadpsutych“. — Ujrzeliśmy, że z owej „przeciętnej“ korzysta zaledwie 50 procent ludności — podczas gdy drugie 50 procent zalewa pusty żołądek wodzianką, kwaśnicą i zatyka go owsianym plackiem z popiołem, który się daje jeść tylko „na gorąco“. — Od faktów tych istotnie gorąco powinno się zrobić tym, którzy wszelkie objawy nędzy społecznej zwykli przyjmować letnio. Głos prof. Cybulskiego, wolnego od zarzutu wszelkiej partyjności niech będzie dla nich bodźcem i wskazówką. Niech zwolennicy wiejskich specyałów i ci którzy zajrzawszy na przechadzce pod strzechę włościanina zwierzają się potem, że chętnie by sami zasiedli do misy wieśniaczej — niech ci wszyscy przejrzą spis 70 potraw w „próbie badań“, a odpadnie im ochota do żartów.

„Widzimy — pisze prof. C. — że pomimo hartowania naszego wieśniaka odporność jego organizmu na wszelkie zarazki chorobotwórcze jest bardzo małą i że wieś nasza przedstawia zawsze najlepszy grunt dla wszelkiej epidemii. W tem też ma swoją przyczynę ta nadzwyczaj wysoka śmiertelność wśród naszego ludu, przewyższająca wszystkie kraje koronne Monarchii. W tem w końcu ma swoje wytłumaczenie ten spóźniony rozwój mężczyzny, dla którego nawet wojskowość w Galicyi ma względy...“

„To powszechne narzekanie, z którem się tak często spotykamy na nieudolność naszego ludu, na pewną apatyę, na brak inicyatywy, być może nie tyle polega na jakichś specyalnych właściwościach naszej rasy, ile na tych warunkach niehygienicznych, wśród których żyje i na tem niedostatecznem odżywianiu się jego...“ Tak mówi nie publicysta zbyt zapatrzony w swe cele partyjne — lecz mąż nauki. A choć to, co mówi nie dla wszystkich już jest dziś nowością — niech wszyscy jednak szukają w sobie nowej energii dla radzenia nad tą nędzą.

*Antoni Potocki.*

## KRONIKA LONDYŃSKA.

1 września.

Martwy sezon. Co robią dziennikarze? Jak spędzać wakacye bez pieniędzy? Turniej bardów keltyckich. Wspomnienia z „Nowej Galeryi“. Gladstone — literat. (Czy książę York ma dwie żony? Nie ma jak być królem!)

Echa sezonu przebrzmiały. Opustoszały aleje Hyde-parku, wyludniły się eleganckie ulice Westend'u, zamknęły podwoje przedniejszych teatrów i galeryi. Gawiedź artystyczna rozproszyła się po sielskich górskich lub nadmorskich ustroniach by odetchnąć wśród szerokiej natury. Po tylu świetnościach jesteśmy jak popsuta powodzeniem w świecie panna na

---

wali dziś przechadzkę do Mariafred i musieli przejść ulicę Ster. Teraz usłyszał profesor „marsz strzelecki“ Norrköppinga — powtórzono go sześć razy — pomiędzy tem świst parowców, dzwonki na okrętach i dęta muzyka, która zwolna ucichła, przytłumiona wrzawą odpływających parowców.

O dziesiątej wstał, zagrzał wodę do golenia na spirytusie. Wykrochmalona koszula leżała na komodzie, biała i sztywna, jak deska. Potrzebował dziesięciu minut, aby wkręcić guziczki. Potem golił się pół godziny, a następnie uczesał się tak starannie, jak gdyby to było najważniejszą rzeczą. Resztę toalety dokończył z równą sumiennością.

Pokój jego, bardzo skromny, wyglądał tak, jak pokój w hotelu. A mieszkał tu już przeszło dwanaście lat! U wszystkich innych mężczyzn gromadzi się zwykle w ciągu tylu lat mnóstwo drobnostek, podarunków i zbytkownych gracików. Tutaj zaś nie było ani obrazka na ścianie, ani żadnej serwetki na kanapie, wyhaftowanej przez uprzejmą siostrę, żadnej fotografii jakiejś drogiej osoby, żadnego haftowanego szmatka na biurku do ocierania atramentu z piór — wszystko było kupione po najtańszych cenach, aby tylko oszczędzić niepotrzebnych wydatków, któreby znadto ograniczały niezależność właściciela.

Potem usiadł wygodnie przy oknie, aby popatrzeć na ulicę i plac Działowy, aż do portu. W przeciwległym domie ubierała się właśnie jakaś kobieta. Odwrócił oczy od tego widoku jak gdyby ujrzał coś brzydkiego, co zakłócało jego spokój. Tam w porcie poruszały się chorągiewki na wszystkich łodziach i parowcach, a woda błyszczała milionami brylantów w najjaśniejszem świetle słonecznem. Kilka starych kobiet szło do kościoła, trzymając w rękach książki do nabożeństwa. Przed koszarami wojskowemi chodził żołnierz z dobytym pałaszem; wyraz jego twarzy był bardzo niezadowolony i oczy zwracały się nieustannie na zegar wieży — pragnął widocznie, aby gorąco oczekiwana godzina zwolnienia go nadeszła jak najprędzej! Zresztą ulice były puste i niezwykła cisza panowała na ożywionych zwykle placach. Przytem spojrzał profesor znowu na ubierającą się kobietę. Teraz trzymała ona puszek z pudrem, i stojąc przed lustrem, nacierała nos, wykrzywiając przytem twarz, jak małpa. Tak sobie przynajmniej myślał profesor, i niechcąc dłużej na to patrzeć, odsunął się od okna i usiadł na biegunowem krześle.

Teraz zaczął układać w myśli plan dnia dzisiejszego, zdawało mu się bowiem, i to słusznie, że dziś będzie ciągle sam. W innych dniach miał szkolną młodzież dokoła siebie, i pomimo, że nie kochał tych dzikich swawolników, których musiał poskramiać, to czuł jednak jakąś próżnią, gdy nie był razem z nimi. Podczas latowych wakacyi miał małą szkołę dla tych, co pozostali w domu, ale i ci uczniowie mieli obecnie kilka dni wolnych, tak, że przez pewien czas był zupełnie osamotnionym, wyjąwszy porę obiadową, podczas której był zawsze w towarzystwie księgarza i Potockiego.

— O drugiej — myślał sobie — skoro się parada skończy i publiczność rozejdzie, pójdę do restauracyi i zjem obiad, potem zabiorę księgarza do Strömsborg — tam jest dzisiaj cicho — tam wypijemy kawę i puncz, i wieczorem wrócimy do Reinera, do parku Berzeliusa. (To była właśnie jego ulubiona restauracya.)

Z uderzeniem godziny drugiej wziął kapelusz, wyszczotkował go starannie i poszedł.

— Cieszyłbym się — myślał dalej — gdybym dziś dostał duszonego lina na obiad. Może w dniu św. Jana będą i szparagi!

I wyzyskując wszędzie cień, szedł żwawo dalej. W parku Berzeliusa było mnóstwo rodzin robotników z dziećmi i wózkami, i wszyscy siedzieli na tych ławkach, na których w dni powszednie siadały zwykle wykwintne bony i nauczycielki. Widział, jak jedna z matek dawała dziecku pierś — wielką, białą pierś, pełną mleka, a którą malec mocno trzymał tłustemi rączkami. Dla profesora był to widok obrzydliwy i odwrócił natychmiast oczy w inną stronę. Gniewało go niezmiernie, że w „jego parku“ było tyle obcych ludzi. Zdawało mu się, że widzi służbę w nieobecności państwa w salo-

drugi dzień po hucznym balu. Zrazu w rozbawionej głowie tańczą dźwięki muzyki, światła kinkietów, uroczych obrazów, czułych spojrzeń i półsłówek tysiące i mieszają się w bezładny chaos, rozbujana w przestworach myśl na skrzydłach rozmarzenia fruwa jak motyl, czepiając tu i owdzie barwniejszego kwiatu, zanim skąpany w ciszy umysł nie zacznie na trzeźwo przesypywać przez rzeszoto krytyki uciech sezonowych, odróżniać blaski fałszywe od prawdziwych, przyglądać się uważnie pozostałym ziarnom i delektować niemi. Przystanęły koła wielkiej maszyny wytwarzającej piękno w różnych formach. I one potrzebują wytchnienia lub reparacyi. Pozostały gazety.

Strapieni redaktorzy wyciągają z szuflad przeróżne zagadnienia gwoli zapełnienia szpalt pisma i zbudowania czytelników. Podaję Wam kilka, notabene autentycznych, po należytym ich sklasyfikowaniu: Czy kobietom powinno być wolnem palenie? Czy pchły należą do zwierząt szkodliwych? Czy sprzedawałyby się zatłuszczone gazety? Jak pozbyć się kłopotliwej niewiasty? Czy architektura należy do sztuk pięknych? Czy whisky zapobiega reumatyzmowi? Jak znaleźć szczęście nawet w małżeństwie? Jak pozbyć się mgieł? Co robić z naszemi córkami? i t. p. W tej ostatniej kwestyi — bo listy zwykle fabrykują się w redakcyach — zabrał głos mój znajomy dziennikarz, kawaler, lat mający dwadzieścia pięć i uciął sążnisty a doskonały artykuł — jako „matka ośmiorga dzieci.“

Wycieczki, kąpiele, regaty, polowania na szkockie kuropatwy są w sierpniu na porządku dziennym. Na wyspie Whigt ukoronowane głowy walczą o lepsze na yachtach z amerykańskimi krezusami, dzieląc się honorowemi nagrodami w własnym kółku zgrabnie i grzecznie. Nie każdego wszakże stać na takie piękne zabawki. Są tacy, którym na omnibus nie stać. Cyganie-artyści i studenci bez grosza chwycili się zatem fortelu i łącząc utile cum dulci, spieniężają swe talenty muzyczne w stacyach kąpielowych, wygrywając na nadmorskim piasku pod gołem niebem na pianinach, mandolinach, gitarach i banjo'ach, wyśpiewują piosnki i ballady, czasem fałszywie, czasem nie fałszywie, i zgarniają w miseczki lub kapelusze mnogie trojaki. Wszędzie na wybrzeżu spotkasz ich mnóstwo, ekscentrycznie, ale dobrze ubranych, tak, aby zdradzić swój zawód i pochodzenie i zapelować do wypchanych kieszeni, ku zmartwieniu minstrelów z zawodu, których faksy i wyczernione gęby nie zawsze ciągną.

Tylko w malowniczej górzystej Walij, żyjącej na uboczu, cichutko jak u Pana Boga za piecem, są możliwe turnieje samorodnych bardów. Poezya dla keltyckiego szczepu zdaje się być jedynem wcieleniem piękna i jedynym upustem wyobraźni. W tym roku „Eistedfod“ czyli święto bardów odbyło się gdzieś przy druidowych skałach pod Carnarvonem i Bagnorem w obecności towarzystw śpiewackich i poetyckich oraz księcia Walij i nadobnej jego małżonki, przyjmowanych z wylaniem. Kmieć nazwiskiem Gareth wyszedł zwycięzcą i otrzymał królewskie honory — koronę i niebieską wstęgę bardów z rąk przyszłej królowej, nie mało zaszczytem przestraszony. Ponieważ poczciwy ludek orderów do rozdawania nie posiada, a czemś przecie Kr. Wysokości obdarzyć wypada, mianowano księstwo swatami i wpisano w księgę jako „Edwarda — księcia“ i „Rozkosz Brytanii“.

„The New Gallery“ zamknięto z końcem lipca i nie wspomniałem o niej żadnem słówkiem. Wprawdzie latowa wystawa nie prezentowała się tak świetnie jak zwykle, lecz milczeniem zbyć jej nie wolno, bo w rzędzie licznych przybytków sztuki zajmuje ona miejsce nieposlednie. Uderzyły mnie w tych salonach dwa mianowicie dzieła: „Drwal“ młodego angielskiego artysty H. La Thangue i portret Jerzego Meredith'a przez G. F. Watts'a.

Sędziwy drwal z pąkiem suchych gałęzi na przygarbionych plecach idzie zwolna wzdłuż żywopłotu a w dali dziewczyna takim samym obarczona ciężarem. Temat to chyba nie reklamujący się, a jednak ten staruszek oblany potokiem słońca przykuwa oko i zachwyca. Talent artysty zdołał zainteresować nas dość i spoglądamy na płótno, jakbyśmy nigdy niebyli oglądali ani drwala ani żywopłotu ani trawy, tak potężnem jest wrażenie prawdy. Postać jego drży w słońcu, porusza się, ruch nóg jego jest zupełnie widocznym, twarz mówi o znużeniu. Nie wielki obraz narysowany poprawnie jest malowanym zamaszyście, grubym pędzlem, impresyonistycznie i pełny swojskiego wdzięku.

Pan Watts, o którym wspomniałem w przechadzce po wystawie akademii, nie jest mistrzem w kolorycie. Zgodzi się na to każdy. Mimo to Towarzystwo literackie nie mogło lepszej ręce powierzyć zdjęcia portretu swego prezesa.

Jako prawdziwy malazr spostrzega i przenosi na płótno wybitne cechy modelu, odtwarza jego charakter. Portret jego nie robi konkurencyi fotografistom. To dzieło umysłu twórczego. Piękny też miał model. Fizyognomia Meredith'a należy do najpiękniejszych jaki świecie widziałem, chociaż wątpię czyby się nom spodobał.

Nie jest on ładnym. Szpakowaty, ło lat pięćdziesięciu — ma w istocie więce nieco chudy (bo leży to w naturze miesz ców wysp brytyjskich albo raczej w us klimatycznym) — to szlachetny typ prawdz go dżentelmana i artysty, bez długich ro chranych włosów. Misternie narysowany kontury twarzy nadają fizyognomii rys ar kratyczny, a oczy, nieco zapadłe, blade, kojne z odcieniem zamyślenia i melancholii nowią kontrast z postacią zdradzającą siłę nowanie nad sobą. Jest w nich coś wykwi go, szlachetnego, jakieś niespodziewane, za kowe głębiny jak w jego poezyach. —

Gladstone nie uznaje teoryi zupełnego poczynku. Praca umysłowa jest dlań niet koniecznością, ale także środkiem hygienicz Zaledwie wziął rozbrat z polityką, siad biurka i wertuje klasyków, ojców kościoła przepuści nawet beletrystyce. Wydaje obecnie przekład od Horacego i pisze św rozprawę z dziedziny teologii. Gdyby zan wstępować w szranki parlamentarne, był p wdział habit, byłby dziś niezawodnie arcybi pem Canterbury.

Artykuł jego w miesięczniku: the Century p. t. Schizma i herezye w łonie ch ściaństwa, dla fachowych nie przedstawia b wielkiego interesu lecz zasługuje na uw chociażby dla tego, że Wielki starzec naw w nim do tolerancyi, tolerancyi wszystkich rzeń. —

Koniuszy księcia Walii wystosował z t poręki list do Dzienników, w którym ostr przeciwko dawaniu wiary pogłoskom kursują o księciu Yorku a wymierzonym przeciwko winnej parze książęcej. Są one takiej nat że nie ma słów któremi zadać by im n kłam. O cóż chodzi?

Wyrwało mi się coś kiedyś o powtarza plotek. Winienem zatem historyjkę tę opo dzieć.

Otóż gdy rok temu z góry ogłaszano cyalnie zaręczyny księcia Jerzego z księcz ką May, plotkarskie piśmidło tutejsze The dern Society, które trudni się wyłącznie wy kaniem wszelkich prawdziwych lub skompono nych drobiazgów, zakulisowych spraw i sk dali — domów królewskich i arystokracyi, ściło w obieg anegdotę zwiastującą urbi et że zaręczony książe jest już — żonatym z dą amerykanką, której nazwisko po la Według tego źródła (za które odpowiedzial jest wydawca Mr. Labouchere członek pa

---

nie, i nie mógł „tym ludziom“ darować, że wyglądali tak brzydko i pospolicie.

Teraz zbliżył się się już do werandy, i myśląc o smacznych linach z pietruszką, chciał właśnie rękę położyć na klamce, gdy nagle ujrzał przylepiony na oknie biały papier, na którym było coś napisane. I niepotrzebował dopiero czytać — odgadł natychmiast treść tych słów — to jest — że restauracya była dziś — w dniu św. Jana zamkniętą. Zupełnie zapomniał o tym zwyczaju! W tej chwili doznał takiego uczucia, jak gdyby wpadł na słup od latarni i uderzył się mocno w głowę! Był wściekły! Najpierw złościł się na Reinera o to, że zamknął dziś restauracyą, potem na siebie, że o tem zapomniał. Nie mógł pojąć, że nie pamiętał o tak ważnej rzeczy i szukał zawzięcie w myśli powodu, dla którego popełnił tę straszną omyłkę! W pierwszej linii był naturalnie Reiner wszystkiemu winien. Zrozpaczony upadł na ławkę i byłby z gniewu najchętniej zapłakał. Bum! W tejże chwili upadła piłka na jego czystą białą koszulę. Zerwał się jak rozszalały kozioł i już chciał pochwycić złoczyńcę, gdy naprzeciwko siebie ujrzał małą, brzydką dziewczynkę, która patrzała na niego i śmiała się głośno. Za nią stał jakiś robotnik w świątecznem ubraniu i słomianym kapeluszu, ujął z uśmiechem rękę dziecka i zapytał ironicznie profesora, czy go bardzo bolało... Żołnierze i służące, które stały w pobliżu — wszyscy wybuchli głośnym śmiechem. Profesor oglądał się za policyantem, czuł się bowiem pokrzywdzonym w swej godności człowieka, ale gdy ujrzał jednego z nich rozmawiającego uprzejmie z matką niegrzecznej dziewczynki, stracił chęć uskarzenia się, i poszedł prostą drogą na główny rynek, aby wynająć sobie dorożkę. Postanowił pojechać do swego przyjaciela księgarza, bo już nie mógł dłużej znieść tej samotności. Gdy siedział w dorożce, czuł się bezpiecznym, i mógł przynajmniej wytrzeć porządnie na koszuli plamę, spowodowaną rzuconą piłką.

Gdy przybył przed dom księgarza, odprawił dorożkę, był bowiem pewnym, że zastanie przyjaciela w domu. Ale gdy wchodził na wschody, zaczął już o tem wątpić! A jeżeli go nie zastanie? I nie zastał go rzeczywiście! W całym domu nie było nikogo — wszędzie bowiem, gdzie zapukał, usłyszał tylko głuchy odgłos pukania i nic więcej. Głucho też brzmiał odgłos jego kroków, gdy schodził znowu na dół.

I w końcu stał znowu sam na ulicy i nie wiedział, co robić! Adressu Potockiego nie znał, a książki z adresami nie mógł przecież szukać w dniu, w którym wszystkie składy były pozamykane. Byłoby to daremnym mozołem.

Nie wiedząc nawet gdzie idzie, zbliżył się nareszcie po długim chodzeniu do Rynku Karola XII. Nie spotkał nikogo ze znajomych, i czuł się znowu obrażonym obecnością pospólstwa, które korzystając z nieobecności arystokracyi, zapełniało ulice. Profesor był wy wanym w szkołach rządowych — a więc się wyższym i lepszym, jak zwykli śmierteln i pogardzał „motłochem“.

Ale głód, który nieco zamilkł z pow wielkiego gniewu, odezwał się teraz na no I wtedy to przyszła mu do głowy okro myśl, której ze strachu nie śmiał głośnie powiedzieć: gdzie i czy on wogóle zje obi Z domu wyszedł ze swoją kartą abonamento a w kieszeni miał dwie korony. Ale karta m wartość tylko u Reinera, a jednę koronę wy już na dorożkę.

I nie wiedząc, co robić, wrócił znowu parku Berzeliusa. Tutaj siedzieli robotnicy dli obiad przyniesiony w koszykach: gotow jaja, raki i pączki. Policyanci nic na to mówili. Jeden z nich stał nawet z szkla piwa i kawałkiem chleba w ręku, i rozma z robotnikami. Najwięcej gniewało go to, tym ludziom lepiej się dziś wiodło, niż je Ale nagle przypomniał sobie, że mógłby iść składu mleka, i tam uspokoić gwałtowny g Pobiegł więc zaraz do portu, kupił bilet i jechał parowcem do Zwierzyńca, tam musi p cież spotkać kogo ze znajomych i pożyczy so chociaż niechętnie, trochę pieniędzy, aby Hasselbaken zjeść porządny obiad.

(Dokończenie nastąpi.)

znał ojca. Sławne jego stawienie się do wojska mimo ciążącego nad nim wyroku wygnania i idące za tem uwięzienie, a także dodać trzeba równie głośne sercowe historye, uczyniły go tu dosyć popularnym i zjednały mu charakterystyczną nazwę „dziecka bulwaru“. Wierni domu orleańskiego utrzymują, że młody hr. Paryża odziedziczył w zupełności charakter dziadka. — To pewne, że obojętnej rezygnacyi i flegmy angielskiej ojca nie posiada, to pewne, że rola pretendenta nie przeraża go, jak ojca przerażała, lecz przeciwnie, dużo ma dla niego uroku. Już sama ta pewna popularność, którą się młody książę w Paryżu cieszy, zdaje się być spadkiem po dziadku, ukochanym swego czasu księciu, którego wszystkie grzeszki, tak bardzo jednak rażące wśród surowego dworu Ludwika Filipa przebaczano, w imię szlachetności jego charakteru, jego uprzejmości i dobroci. Śmierć jego nietylko natchnęła Alfreda de Musset, ale wywołała ogólny szczery żal.

Trudno dziś przewidzieć jakie będą losy młodego pretendenta. To jedno nieomal z zupełną pewnością przepowiedzieć można, — że nigdy nie zasiądzie na tronie św. Ludwika. Jeżeli Republika wskutek jakiegoś zbiegu okoliczności, wojen nieszczęśliwych, czy domowych rozruchów padnie w proch, to na miejscu pokonanej zasiądzie nowy przybysz jaki, wódz czy polityk, szczęśliwy rycerz awanturniczy, umiejący w danej chwili niespodzianie uchwycić brutalną, a silną ręką ster państwa. Chwilowo jednak niebezpieczeństwo żadne Republice nie grozi — mimo napaści rozlicznych, mimo wyszydzań słowem i piórem „Marianne“ stoi niewzruszona wstrząsając zwycięsko swą czerwoną, frygijską czapką.

*Ay.*

## Przegląd prasy słowiańskiej.

Rusiński „*Hałyczanin*“ pisze pod nagłówkiem „De futuris“, co następuje.

„Przyznajemy, że nam żal polskiego narodu, który gdyby posiadał mężów patrzących w świat poważnie, byłby w Słowiańszczyźnie i w Europie ważną odegrał rolę. Dziś dzieje się tak, że co dodatniego zdziała jedna część narodu, niszczy to druga i tym sposobem ciągnie się u Polaków od wieku polityka samobójstwa...

„W samym sobie niezbyt liczne plemię polskie rozdarte jest na trzy części. Wielkopolska ledwie że dysze pod uciskiem germańskim. Ziemia usuwa jej się z pod nóg, język wydziera jej Teuton w szkole, urzędzie i życiu prywatnem. Kościół chyli się także pod jarzmo germańskie. Mimo to, że Kościół katolicki tak wielką posiada potęgę, nie potrafi on ochronić Polaków przed wynarodowieniem. Tamtejsze stosunki są całkiem podobne do stosunków Rusinów w Galicyi. Wielkopolanom narzucają na przewodników ludzi indolentnych w guście Kościelskiego, tak też po dzielnym Ledóchowskim, któremu z naszej strony można przeciwstawić Jachimowicza, przyszedł człowiek, który był dawniej dla oka skrajnym patryotą, a dziś jest narzędziem powolnem rządu (.) Słowem w Wielkopolsce galicyjsko-małoruskie stosunki.

„O wiele korzystniejszem jest położenie Polaków w Rosyi. Peryodyczne bunty polskiej szlachty ograniczyły(?) wprawdzie autonomię, jaką dawniej królestwo posiadało, ale Polacy przechodzą tam szkołę pewną, która im na złe nie wychodzi. (sic) Skutki tej szkoły dziś już widne. Polacy rosyjscy są zamożni, pozbyli się fantazyi i utopii i pracują w kierunku materyalnego rozwoju. Kraj przywiślański, to jedna z najbardziej kwitnących prowincyi Europy.(!) Warszawskie dzienniki przewyższają liczbą kilka razy pisma polskie w Galicyi. Centrum polskiej sztuki i nauki jest po dziś dzień Warszawa, choć w Galicyi znajduje się Akademia Umiejętności i dwa polskie uniwersytety. Nie ma wątpliwości, że Polacy w Rosyi tem się staną, czem dziś stali się wśród Słowian austryackich Czesi. Galicyjscy Polacy ani materyalnie, ani kulturnie braciom swoim z pod zaboru rosyjskiego dorównać nie mogą...

„Polacy w Austryi są dziś czynnikiem rozstrzygającym o losie walki germańsko-słowiańskiej.

„My ruscy Galicyanie sami niewolników ojców półwolne dzieci już od wieków patrzymy na te kroki ryzykowne naszych braci. Naszego rozwoju narodowego nie powstrzymają Polacy fonetykę i latynizacyą Kościoła. My popłyniemy według słów naszego poety „jak rzeczułka ojczysta powoli do morza z liczkiem białem...“

* * *

„*Nowoje Wremia*“ piszą o stosunkach w Bułgaryi:

„Pod rządem obecnym wszelki ruch przemysłowy i kupiecki ustaje. Bułgarskie finanse znajdują się w stanie bardzo opłakanym. Wiedeński „Laenderbank“ wzdraga się wypłacić Bułgaryi część pożyczki, która miała być jej wypłacona. „Laenderbank“ jakradzą w Sredcu, czeka na wynik wyborów do sobrania, i tym sposobem stara się miliony swoje zabezpieczyć wobec niepewności przyszłych wypadków. Płacenie podatków ustało. Płacący podatki, o których chodzi tak rządowi, jak i obecnym posłom, poczuli teraz swoje znaczenie. Nieporządki i brak gotówki u władzy objawia się w handlu zagranicznym. Cudzy konsulowie w Bułgaryi zasypywani są skargami za nierzetelność i niewypłacalność kupców bułgarskich i rumelijskich. Ajenci zwrócili się do swych ambasadorów w Carogrodzie, aby skłonić Turcyą do zrobienia w tej mierze przedstawień rządowi bułgarskiemu...“

* * *

Do serbskiej „*Zastavy*“ piszą z Cetynii:

„Wiecznie się powtarzające najazdy Arnautów na wioski czarnogórskie utrzymują mieszkańców w ciągłym rozdrażnieniu. Tylko powaga księcia Nikity powstrzymuje Czarnogórców od wymierzenia sobie samym sprawiedliwości na plemieniu rozbójniczem. Rząd czarnogórski czyni też co może dla uspokojenia ludności, bo wie dobrze, że zatarg czarnogórsko-turecki mógłby dać początek wielkiej wojnie europejskiej, któraby zresztą, co prawda, koniec położyła dzisiejszym zgniłym stosunkom europejskim.

„Niedawno Arnauci przygotowywali się do wielkiej na Czarnogórę wyprawy. Dowiedział się o tem rząd czarnogórski i posłał w zagrożone miejsca siły wojskowe. Skoro się o tem Turcy dowiedzieli, natychmiast rozkazali rozejść się Arnautom i tym sposobem usunięto niemałych następstw.

Obecnie panuje znowu wśród Czarnogórców bieda, bo rok obecny był rokiem nieurodzaju. Kukurydzę słońce wypaliło. Mimo to Czarnogórcy mają nadzieję, że ich książę postara się znowu o zaradzenie złemu. Dziś dla owej biedy nie pyta się Czarnogórzec drugiego przy spotkaniu „jak się masz, lecz czy masz co jeść.“

* * *

Do słowackich „*Narodnich Nowin*“ piszą z Trenczyna:

„Do miasta naszego wtargnął naraz duch dziki madziarskiego szowinizmu. Madziary pienią się ze złości, że Słowacy przy wyborach na proboszcza zwyciężyli madziarskiego kandydata Scholcza Gyula. Zemsta na Słowakach rozpoczęła się napaściami na ulicach, wybijaniem szyb i wyzwiskami w karczmach. Jakieś indywidua kazały wydrukować pamflety, które podpisano „a nazafias part“ (stronnictwo patryotyczne)

---

go, aż ci stare oczy we łzach wypłyną, bo jego już pewno nie ujrzą. Będzie się poniewierał po rozmaitych norach i gdzieś, za światem ze skorbutu, czy suchot, w nędzy zemrze...

---

7 lutego.

W ciągu dnia, na mustrze, w nocy, wszędzie i bez przerwy myślę o Tobie. Im dłużej rozważam sam fakt, tem dziwniejszem wydaje mi się Twoje nagłe zniknienie, Twoje opuszczenie miejsc, gdzie tak długo pracowaliśmy ramię przy ramieniu. Czyliż podobna przystać na to, że Ciebie już nie ma? tak zupełnie, że zostałeś tylko jako odruch przestrachu w pamięci jednych, a jako przekreślona liczba w pamięci innych... Czemuż nie jestem z Tobą, czemu nie mogę trzymać Cię w ramionach, gdy czujesz, że męstwo Twoje omdlewa, gdy jesteś, co najstraszniejsza, znudzony do cna, a masz właśnie z umiejętnością bronić wszystkiego, masz uciekać w każdym ruchu i słowie, jak wściekły pies, którego za jakąbądź cenę postanowiono dosięgnąć i zgładzić... Co uczynię, ażeby znaleść kaucyę? Czem zmyć potrafię Twoje posępne upadki ducha i chwile żrącej goryczy, które pojmuję i trzymam w sercu — tutaj, wygodnie śpiąc, spacerując, celowo ćwicząc ciało i prowadząc mądre dyskusye? Jakimże prawem nazwę się Twoim przyjacielem po tylu dniach i nocach, spędzonych przez Ciebie na rozmyślaniu, na rozmyślaniu raka, wydobytego przez pastuchów z nory wodnej i wrzuconego na płonące węgle? Wiem dobrze, kiedy do Ciebie znajduje przystęp małoduszność, wiem kiedy ściskasz i natężasz wytrwałość, ćwiczysz przebiegłość, oszukujesz, kłamiesz, zaprzeczasz, milczysz... Wiem, kiedy zacinasz zęby i w bohaterskim uporze, z królewską dumą, po swojemu mówisz w myśli: — a więc zginę, szubrawcy! a więc zginę!

Wszystko to wiem, jakby w moich piersiach biło Twoje serce, jakby mój mózg patrzał z więzienia na świat i życie Twojemi myślami — i nic nie mogę przedsięwziąść! Siedzę w pokoiku sióstr Kupferschmidt i licho wie po co, na co i do kogo piszę to wszystko, namyślając się nad każdem zdaniem i usiłując pisać uroczemi zwrotami. Każdy przebłysk współczucia, czy cierpienia chwytam i utrwalam. Co można bardzo dobrze wyrazić przez *a*, ja muszę wyrazić przez *a* w potędze *n*. A gdyby mię pułkownik Pizipios zapytał, czy Ciebie wypadkiem nie znam, — odpowiedziałbym, patrząc mu w oczy z dziecięcą zaiste prostotą, żem Cię, jako żywo nigdy nie widział.

Tak bracie! A przecie jestem z Tobą przez wszystkie minuty...

---

8 lutego.

Prawdopodobnie umiałbym zginąć bez zmrużenia oka, ale teraz przebiega po moich nerwach lodowaty dreszcz, jak w przedsekundzie rzucenia się w nurty bezdennej wodnej przepaści. Obudzę się jutro raniutko i, zaledwie otworzę powieki muszę pomyśleć: aha — to dziś.

Ta pierwsza myśl mierzi mię i nęka. Męstwo podobne jest do żołnierza prezentującego broń. Stoi nieruchome, aż do tej chwili, póki głos tajemniczy nie wyrzecze: — pal! Wówczas martwa bryła złoży się, weźmie na oko i śmierć zada. Ale wymódz na sobie zdolność wydania tego rozkazu, tego wyroku śmierci na samego siebie....

Gdyby takich jak ja było tutaj trzech w tej chwili haniebnej, — któż z nas myślałby o smutku? Śmialibyśmy się i śpiewali niepodległe pieśni. Lecz ja jestem sam, okrutnie sam...

Nic w naturze nie ginie. Przecież ja jestem summa — summarum — żak i „kawaler“ dziewiętnastoletni. Nie zdążyłem jeszcze wydychać ze siebie uczniowskiego „*pietra*“, tej bojaźni okrutnej, która przez dziewięć lat długich ogarniała mię, jak powietrze, czyhała na mnie za każdym węgłem i wiecznie groziła.

Teraz zaczęła się bardziej kawalerska subordynacya. A kto i kiedy uczył mię, jak się

w których wzywają publiczność patryotyczną, ażeby od tych lub owych kupców nic nie kupowała, ponieważ są to panslawiści pracujący na zgubę Węgier.

W każdem państwie, gdzie panuje prawo możnaby takich denuncyantów ukrywających swoje nazwiska pociągnąć do odpowiedzialności, ale nasze władze przeciw temu nie występują. Toż taka walka równa się niszczeniu egzystencyi zabezpieczonych prawem. My sądzimy, że większa część obywatelstwa trenczyńskiego składa się z ludzi rozumnych, którzy potrafią zachować się godnie wobec niecnych napadów szowinistów madziarskich... *K.*



## PŁACZ JESIENNY.

Nie płyną chmurki w modrej dali,
Nie wieją mgły nad senną ziemią
I księżyc w cichej drzemie fali
Tak, jak niewinne dzieci drzemią;
I jak bajeczne arabeski
W przezroczu czystem i świetlanem
Bezliste drzewa strop niebieski
Dzierzgają wzorem niezrównanym.
Cisza dokoła — i pierś cicha:
Jak fala w biegu nagle ścięta
Już się nie wzdyma, nie oddycha
I o istnieniu nie pamięta...

* * *

Czyś widział kiedy uśmiech blady,
Co w konającej błądzi twarzy
I srebrne po niej znaczy ślady,
Chociaż za chwilę śmierć ją zwarzy?
Ach, jaki spokój niepojęty
Na niej się wówczas rozpromienia
I jakiej ciszy pełna świętej
Chwila, gdy pęka nić istnienia...
Taką ta noc jesienna była:
W uśmiechach cała od miesiąca,
Ostatnie tchnienie swe roniła
Bez skarg przyroda konająca.

* * *

Czy ja tu jestem — czy istnieję?
Czy mi się zmarło, czy się marzy?
Bo coraz srebrniej światło mdleje
I do księżyca sennej twarzy
Wzrok tylko błądzi zadumany.
Gdzie nieskończoność srebrno blada, —
I zwiedza mlecznych dróg tumany
I po srebrzystych kręgach spada
I widzę tylko blask gromniczny,
I czuję tylko chłód na skroni,
A myśl w martwocie lunatycznej
Za żadną marą już nie goni. —

* * *

A w tem — coś drgnęło i zciemniało:
Z wierzchołka brzozy listek marny
Zsunął się lekko w przestrzeń białą
Spłynął — i w ciszy legł cmentarnej...
Dla czegoż nagle przerażony
Za liściem chylę twarz do ziemi,
I czuję w piersi jęk stłumiony,
I łkam ustami pobladłemi?
I martwy widzę blask dokoła,
I słyszę wspomnień chór daleki —
A serce skarży się i woła
Za tem, co zgasło już na wieki!...

Jerzy Grot.

## Listy Wojciecha Cybulskiego
do
## Wacława Hanki.
(1840—1847.)

Ogłosił
**Edward Jelinek.**

Ogłaszamy dalszy ciąg korespondencyi znajdującej się w spuściźnie *Wacława Hanki* (ur. 1791, zm. 1861 r. w Pradze), przechowanych obecnie w bogatych zbiorach narodowego muzeum królestwa czeskiego w Pradze. Zawiera ona tym razem listy *Wojciecha Cybulskiego*, pisane do Wacława Hanki w latach 1840—1747.*)

*) Poprzednio ogłosiliśmy: Korespondencya pana Adama Junosza Rościszewskiego z Wacławem Hanką. Refleksye z czasów odrodzenia (1829—1844). „Dzien. Poznański 1894. — Dwa listy Tytusa hr. Działyńskiego do W. Hanki (Przyczynek do historyi Biblioteki Kórnickiej). „Świat" 1894.

Nie wiele nam do listów tych dorzucić trzeba, gdyż one same najlepiej określają wzajemne stanowisko i stosunki obu wybitnych pracowników.

„*Wojciech Cybulski* urodził się w Koninie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, roku 1808. Początkowe nauki pobierał w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, a wyższe od r. 1823 do 1830 w uniwersytecie berlińskim. W wojnie 1830—31. walcząc pod Grochowem, Wawrem, Dębem, Iganiami i Ostrołęką, otrzymał 17 ran. Od r. 1836 p święcił się wyłącznie studyom filologicznym, filozoficznym i historycznym. Po wydaniu inauguracyjnej rozprawy „De bello civico Sullano" (Berlin 1838), otrzymał stopień doktora filozofii. Od r. 1840 wykładał w uniwersytecie berlińskim, jako docent języki i literaturę narodów słowiańskich. a w r. 1860 został mianowany profesorem tychże przedmiotów w uniwersytecie wrocławskim. Nauczał z wielkim zasobem wiedzy i znakomitym talentem, umiejąc pozyskać sobie miłość uczniów i powszechny s acunek. Umarł nagle we Wrocławiu r. 1867. Pisma swoje umieszczał w czasopismach poznańskich. jako to: w „Roku", w „Tygodniku Literackim" w „Przeglądzie Poznańskim", w „Przyjacielu Ludu" i w Rocznikach Towarzystwa Poznańskiego Przyjaciół Nauk", tudzież w niemieckiem czasopiśmie Prutza „Literar-historisches Taschenbuch". Z tych do archeologii się odnoszą: „O runach słowiańskich" (Poznań 1860); „O kamieniach mihorzyńskich". Z innych prac Cybulskiego zasługują na wymienienie: „Dziady Mickiewicza. Rozbiór krytyczny zasadniczej idei poematu" (Poznań 1863); „Odczyty o poezyi polskiej w pierwszej połowie XIX wieku", „Przeglądy piśmiennictwa słowiańskiego" (w „Roku"); „O Ewangelii Rejmskiej"; „O najdawniejszych pomnikach języka czeskiego" i t. d. Z niemieckich dzieł tego autora, bliżej Polaków obchodzących, wymieniamy: „Die letzte Revolution Polens und die ihr vorangehende politisch-literarische Bewegung" (1846); „Slavische Ortsnamen der Insel Potsdam und der allernaechsten Umgegend Berlin 1859)". (Zdanowicz-Sowiński IV. str 626.)

Co do Wacława Hanki, powtarzamy tylko, że będąc bibliotekarzem muzealnego księgozbioru gromadził koło siebie ówczesny świat naukowy i patryotyczny czeski. Jeden to z pierwszych wskrzesicieli narodowego życia w Czechach, autor licznych dzieł filologicznych, wydawca starych pamiątek piśmiennictwa ojczystego. W roku 1817 wydał głośny Rękopis Królowodworski, który Lucyan Siemieński wybornie przetłomaczył na język polski. Z pism jego do Polski się odnoszących wspomnieć, na-

---

powinno ginąć? Cały świat, wszyscy ludzie mądrzy głosili zawsze jedno i to samo: choćby postawiono kij i kazano słuchać jego rozkazów, słuchaj. albowiem to jest nasz „rozum stanu", nasza cnota i honor. I ta bojaźń, ta filozofija ludzi rozsądnych, jak grzech pierworodny na mnie ciąży.

A teraz ja sam jeden, żak i „kawaler", muszę przecie wyratować kolegę. Wyratować, — to znaczy, skromnie mówiąc, rozpocząć akcyję i poprowadzić ją z taką szczególną chytrością, z takim „rozumem stanu", aby najznaczniejsza część win Janka na mnie spadła. Mam poprowadzić wszystko tak, aby on się o tem dowiedział i, — bagatelka!! — aby na to przystał.

Jutro zacznę starać się o urlop. Pojutrze wyjeżdżam do Warszawy. Ach, wy nędzne zielska pętające nogi, wy podłe obawy, plugawe przesądy, wy znaki tajemnicze, co latacie przez mózg, jak pioruny po chmurach w czasie nawałnicy! Spartanie przed bitwą śmiertelną trefili włosy, namaszczali mięśnie oliwą i ozdabiali głowy kwiatami. Wówczas wielbiły ich zakochane kobiety, błogosławili starcy, wspierały zazdrością i żalem tłumy dzieci i kalek. Takich, jak ja, idących w tajemnicy przed światem nie popchną na drodze powinności łzy niczyje. Uwieńczmy jednak, o bracie nasze głowy kwiatami, my dwaj! Excelsior!

15 kwietnia.

Otóż i piętnasty! Dzień ciepły, jasny, przejrzyste niebo, wiatr z południa wieje. W oczach wyrasta trawa i już naokoło połyskuje świetlistą zielonością. Pagórki za miastem obeschły i popielate smugi ról przeświecają, jak mgła — jasno zielona, nikła, delikatna, przejrzysta siateczka ozimin. Drzewa nad wodą, około cerkwi i kościoła wypiękniały i zmieniły się do niepoznania. Wierzby wyciągają nad wiosennemi wodami pękające, cienkie gałązki, stare wiązy, modrzewie i sosny cicho szumią, a niewysłowiona ich melodyja unosi się nad tą ziemią. Ulegam złudzeniu, że to ku mnie zniża się z wysokości orszak pogrzebowy, śpiewający nad kimś zmarłym „Dies irae"... Ulegam złudzeniu, że drzewa oglądają się za mną, że młode trawy inaczej migocą, gdy nadchodzę, że woda głośniej pluszcze o nagie, wyziębłe brzegi, gdy na nią patrzę zamyślony, że drogi gładkie, jak powierzchnia wody — wyciągają się na moje spotkanie jeszcze równiej, abym szedł po nich, dokąd oczy poniosą.

„Nie jest punkt geometrów długi ni szeroki,
A jednak wszystkie tworzy linie i boki....
I szczęście jest nie w miejscu, tylko w sobie leży,
Cierpienie tylko wiecznie ciągnie się i szerzy"...

Jak ono wynosi wysoko, jak uczy jak wszystko zrozumieć pozwala! Doznaję rozkoszy, dręcząc się i zaglądając z szyderstwem we własne sumienie, bo zdaje się, że wtedy zbliżam się znowu do Janka, a chociaż nigdy nie spotkam go już w przestrzeni świata, podobnie jak niemaltyczna, wiekuiście dążąc do prostej, nie zetknie się z nią nigdy, — to jednak sama ta tęsknota dążenia, samo beznadziejne omamienie — ulgę przynosi.

Bardzo być może, iż niezdrów jestem moralnie, że zapadłem chwilowo poprostu na *weltchmerz* z radykalnym *katzenjammer'em*, czy może uczciwszy uszy, na romantyzm z mistycyzmem. Cóż mię wszakże mogą obchodzić nędzne słóweczka, ubogie w dowcip przezwiska, wymyślone w wesołych knajpeczkach przez ludzi regularnego apetytu, między siódmym, a ósmym kubełkiem. Zapewne, że to jest sentymentalizm wysokiej próby, kiedy młodzian postanawia z furyją bersekiera: idę na odsiecz Jankowi! — a następnie, zdradziwszy tego Janka najbezwstydniej, opuściwszy pogrążonego w niedolę najgorszą, bo w zwątpienie o prawdziwości przenajświętszej prawdy, — chodzi koło płotów, układa dramat i na pierś plugawca usiłuje zarzucić płaszcz melancholika. To jest sentymentalizm! I cóż z tego. kiedy to jest zarazem i boleść. Pokazuje się, że oprócz mnie zawinił tu ktoś drugi i jeżeli tchórzostwo jest powodem mojej obecnej

leży „Mluvnice polského jazyka podle soustavy Jos. Dobrovského“ (Praga 1839) i „Krakowiaky, aneb pisne polské (Praga 1831). Łączności słowiańskiej był Hanka piastunem nadzwyczaj gorliwym i zręcznym, utrzymując liczne stosunki z uczonymi słowiańskimi, zwłaszcza też z Polakami, czego dowodem jest jego nader bogata korespondencya plska. Utrzymywał on stosunki z Mickiewiczem, Bantkiem, Bielowskim Augustem, Brodzińskim, Działyńskim hr. Tytusem, Górczyńskim, Helclem, Hubem Romualdem, Chopinem, Kucharskim Andrzejem, ks. Lubomirskim Jerzym, Łukaszewiczem Józefem, Maciejowskim Wacławem Aleksandrem, Popielem Michałem, Raczyńskim hr. Edwardem, Siemieńskim, hr. Skarbkiem Fryd., Wiszniewskim Michałem i t. d. Wszystkim służył uczynny Hanka, zachęcał do czeskich rzeczy i nawiązywał stosunki czeskie z dalekim światem.

Sympatycznym i ciekawym objawem tego są listy Wojciecha Cybulskiego, które niniejszem ogłaszamy. Zawierają one bezwątpienia niejedno, co żywo zainteresuje czytelników polskich.

Cybulski był kilka razy w Czechach, stykał się osobiście z najwybitniejszemi osobistościami ówczesnego naukowego, literackiego i narodowego ruchu czeskiego. Roku 1848 był Cybulski też członkiem zjazdu słowiańskiego w Pradze.

Praga czeska, we wrześniu 1894.

*E. J.*

I.

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Od wyjazdu mego z Czech ledwie pare razy w tamte strony pisałem — tak jakbym tam żadnych nie miał znajomych ani przyjaziół. A przecież myśl moja bardzo często wśród braci Czechów przemieszkuje, bardzo często, błądząc po narodowych przeszłej sławy pomnikach, i bratniej ziemi nieśmiertelne odwiedza zabytki: wzmaga się wtenczas, rośnie w siłę, w nadzieję szczęśliwszej przyszłości, gdy miłość wzajemna, wzajemna pomoc, jeden cel narodowego życia wszystkie słowiańskie pokolenia piętnować będzie. W takiej myśli człowiek często całą duszę utapia — zginie — rozumie, że sam by był zdolnym przyszłość tę stworzyć; — gdy zimna rzeczywistość stanie mu przed oczy i opadną skrzydła, wtenczas do bliźnich ludzi — braci równie czujących i myślących się zwraca, aby z nimi spojony, choć wolniej i trudniej, ale bezpieczniej i pewniej do wskazanego dążył celu. Tak i ja sam dotychczas pracując w dziejach własnego narodu, gdy widzę, że słowiański w nich duch najlepiej się wyjaśnia porównaniem z duchem innych szczepów, odwiedzam znowu — ale już myślą tylko bratnie Czechy i wznawiam znajomość ludzi, którzy jak żywe odłamki swego narodu noszą w sobie ślady przeżytego i żywioły przyszłego ruchu i znaczenia. Odświeżam się tem milej w ich pamięci, im mocniej przekonany jestem, że nie tylko chętnie przybyłych braci przyjmują w swojem gronie, ale i o oddalonych często wspominają, dowiadując się, co robią i czy im pomocnymi w czem być nie mogą. Wkrótce będę śmiał bliżej oznaczyć prośbę i życzenia moje zależące szczególnie w przesłaniu potrzebnych mi książek — dzisiaj tylko przypomnieć się Wiel. Pana Dobr. pamięci i podziękować za przysłaną gramatykę języka polskiego miałem na myśli. —

Pan Preuss, prof. języków słowiańskich — jadący z Petersburga, oddawca tego listu — pobędzie czas niejaki w Pradze — a potem pojedzie do południowych Słowian, w celu poznania bliżej tamecznego narzecza. Poświęca się najwięcej badaniom językowym. i ile sądzić mogłem — głębokie w tym względzie ma wiadomości. Nie potrzeba mi z innej strony go przedstawiać, jak z tej, że dobrym jest Słowianinem.*)

Posyłam Panu Dobr. dziełko: Polska nad brzegami Wisły, — inne rzeczy, które będą interesowniejsze będę przysyłał drogą księgarską — nie chciałbym oddawcę bardzo obciążać, albo mu na granicy robić nieprzyjemności.

Racz pan łaskawie pozdrowić odemnie wszystkich szanownych Panów — przyjaciół i znajomych — dobrych Słowian - braci — niech czasem przypomną sobie o kochającym ich zawsze

*Wojciechu.*

Z wyrazem wysokiego poważania
Wielmożnego Pana
uniżony sługa
*W. Cybulski.*

Berlin, 30 czerwca 1840.

Behrenstrasse 13.

*) Preis Piotr, uczony rosyjski, profesor słowiańskich języków w Petersburgu, podróżował w l. 1838 do 1842 po krajach słowiańskich. Badał też okolice kaszubskie. Umarł 1846 r.

II.

Wielmożny Panie Bibliotekarzu!
Łaskawy Panie i Dobrodzieju!

Przez tak dobrą, jak mi się zdarza, sposobność, jest powinnością moją chociaż kilku tylko wyrazami przypomnieć się łaskawej szanownego Pana pamięci. Ucieszyłem się prawdziwie, dowiedziawszy się od Pana Szafařika, że Panu jak najlepsze zdrowie służy i pozwala Mu nieprzerwanie pracować dla sławy i dobra narodu swego i całej Słowiańszczyzny. Zapewne wysokie zadowolnienie czują w sobie dziś mężowie tacy, którzy własnem poświęceniem, myślą i uczynkiem wznieśli tę świątynię słowiańskiej nauki*), do której cisną się obecnie nietylko swoi, ale i obcy. Ich obrazy będą kiedyś jako twórców na wieczną pamiątkę w niej zawieszone. Dotąd są one tylko w sercu zwolenników tej nauki godnie uczczone, stając się dla nich pobudką do postępowania utorowanemi śladami. Cała Praga wydaje mi się dotąd jako muzeum, a miejsce, gdzie Pan mieszkasz, jak święty jego przybytek, którego strzeże mąż pełen powagi i światła. Często bardzo rozmyślam, chociaż sam z sobą, w obcem, dalekiem, niemieckiem mieście, o tych wszystkich, których, jakkolwiek rozrzuconych, poznałem jako prawych synów jednej, wspólnej matki. Czuję, że mnie samego przyrodzenia węzły na zawsze z nimi spoiły, aby na tej samej, co oni, drodze dążyć do celu. który losy ludzkości w sobie mieści. Może będę miał wkrótce osobiście sposobność powitania tak jak drugich, tak szczególnie Szanownego Pana, którego doznana dobroć i skorość w udzielaniu mi swej nauki i rady zawsze w mej pozostaną pamięci.

Widoki mam pewne utrzymać się w Berlinie przy uniwersytecie, początkowo jako docent dla słowiańskich języków i literatury, i w zimowem półroczu zacznę pierwszy raz czytać.

Oddawca listu jest p. Gisevius*) kaznodzieja ewangielicki z Osterode w Prusiech wschodnich. Tłumaczył niektóre rzeczy polskie na język niemiecki, zebrał dużo pieśni gminnych w swoim kraju, które wkrótce ma zamiar wydać. Kilka z nich było umieszczonych w „Przyjacielu Ludu“.

Racz pan Dobrodziej pokazać mu osobliwości muzeum.*)

*) Muzeum czeskie w Pradze.

*) Gizewiusz Herman Marcin Gustaw, ur. 1810, przyjaciel Mrongowijusza, zbieracz pieśni ludowych, obrońca praw polskich w Prusiech. Był współpracownikiem „Slavische Jahrbücher“ wydawanych przez Jordana, z Uesselmanem pracował nad Słownikiem litewskim, wydał kilka zbiorów pieśni dla ludu, redagował przez pewien czas „Przyjaciela ludu“ i t. d. Umarł 1848 roku.

niedoli, to przyczyną jest zupełnie co innego. Wszakże pojechałem wtedy do Warszawy, a to był krok największy, bo trzeba było samego siebie ująć za kark żelazną prawicą...

Pamiętam, jak wyjeżdzaliśmy stąd z Rogowiczem. Konie były dobre, sanie szerokie, droga jak po stole. Gdyby Janek pokutował w Siedlcach, byłbym niewątpliwie przystąpił do rzeczy natychmiast po przyjeździe.

Pamiętam każdy zakręt drogi, każdy przedmiot nawijający się na oczy — dopóki jechaliśmy saniami.

Nie doświadczałem wtedy żadnych prawie uczuć, byłem skupiony w sobie, chociaż nie myślałem wcale o tem, po co jadę. Skoro przesiedliśmy do wagonu, — wszystko się rozprysło. Zaczęła się robota nerwów. Było mi tak źle i duszno, że cały prawie czas przestałem na platformie wagonu. Któżby zdołał opisać ból, jaki mi sprawiało szybkie uciekanie ziemi, widoków, wiosek, płaszczyzn, lasów!... Któżby zdołał wyrazić całą moc pragnienia: — gdybym tę krzywą sosnę, tę dróżynę, zawaloną śniegiem, ten skrawek głuchego pustkowia jeszcze raz mógł zobaczyć!

Gdy minęliśmy Miłosnę, pokazała się Warszawa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

AUGUST STRINDBERG.

# DZIEJE MAŁŻEŃSKIE.

(Tłum. **Empa**.)

III.

**Konieczność.**

Codziennie wieczorem z uderzeniem godziny ósmej staje profesor Blom we drzwiach oszklonej werandy restauracyi. Podczas kiedy z matematyczną dokładnością ściąga wełniane rękawiczki, spogląda uważnie z ponad zapoconych okularów najpierw na prawo potem na lewo, szukając znajomych. Potem zawiesza swój płaszcz na gwoździu, znajdującym się po prawej stronie kominka. Kelner Gustaw, były uczeń profesora, zbliża się, nie czekając rozkazów, do jego stolika, ściera go, następnie miesza łyżeczką musztardę, wygładza sól i w końcu układa serwetę w kunsztowne fałdy. Bez polecenia przynosi butelkę Medhama — wódki, otwiera butelkę akcyjnego piwa, i aby przerwać milczenie, podaje profesorowi kartę ze spisem potraw, pytając zarazem:

— Możeby pan profesor jadł raki?

— Wielkie raki?

— O tak, wielkie, piękne raki, — odpowiada Gustaw, i biegnie do drzwi, wiodących do kuchni.

— Wielkich raków z kminkiem dla pana profesora! — woła głośno.

Potem przynosi masło i ser, bierze dwa kawałki pumpernikla, i kladzie wszystko na stoliku profesora, który tymczasem odbył na werandzie polowanie na gazety wieczorne. Udało mu się pochwycić jedne tylko wprawdzie „Pocztę“, ale za to bierze sobie „Dziennik“, gazetę poranną, której podczas obiadu nie zdążył przeczytać. Obawiając się zaś, aby mu jej kto nie zabrał, siada na niej, bierze „Pocztę“ i rozkłada na koszyku, stojącym po lewej stronie, a w którym znajduje się chleb. Potem smaruje na chlebie masło w geometrycznych figurach, kraje ser pod prostym kątem, napełnia wódką kieliszek, ale tylko do połowy i podnosi go do wysokości ust. Następuje pauza lękliwego oczekiwania — jak gdyby miał wypić lekarstwo, potem pochyla głowę w tył, wypija i wykrzywiając twarz, dmucha przeciągle: puh.

To się powtarza codziennie od lat dwunastu i powtarzać się pewnie będzie aż do końca życia!

Przyjmij zapewnienie wysokiego poważania, z jakiem zawsze zostaję Szanownego Pana prawdziwym sługą i wielbicielem.

*Cybulski.*

Berlin, dnia 17 czerwca 1841.

---

## Z liryki współczesnej.

**Kazimierz Tetmajer**: Poezye. Serya II. Sfinx (Fantazya dramatyczna).

Życiowy przesyt i smutek prawie beznadziejny rozpostarły czarne swe skrzydła nad drugim tomikiem Tetmajerowskich poezyi. Talent ten podzwaniający w zaraniu twórczości swojej muzyką pragnień płomiennych i tą wiarą w życie, która jak wiatr potężny uderzała w rozpięte żagle okrętu i parła statek na spienione fale, dziś się zadumał boleśnie nad dążeń ludzkich tragedyą i w tej zadumie pogłębił się, rozwinął i dojrzał. Szczęśliwa sztuka! Jej z bólu i rozczarowań wytryska źródło natchnienia.

Aktorem boleści nie jest Kazimierz Tetmajer i ta prostota, ta szczerość zwątpienia różni go od tylu liryków schyłkowych, którzy jak Karol Baudelaire stroili się w grobowe cudactwa bólu, w dyabolizm i rafinowane bankructwo normalnego człowieczeństwa. Fanfaronada przesytu obcą jest młodemu poecie, — nie kocha się wzorem tego, co „Kwiaty grzechu“ wyśpiewał, w obrazach rozkładu i śmierci, nie lubuje się w tendencyjnem wykrzywianiu świata zewnętrznego i parodyach, piękna, nie pieści się apoteozą kościotrupów i znieprawionych instynktów, lecz tylko skarży się głośno nad ludzką niemocą. A gdy rozszemranego nad wiosną bez słońc i kwiatów śpiewaka doleci głos potępienia z ust ojców i matek, wtedy z jakąś dziwną bolesną rezygnacyą tłumaczy duszy własnej tajemnice przed trybunałem starego pokolenia. Jest tam nieco Heinowskich tonów., jest tchnienie Musseta,są wreszcie reminiscensye z Słowackiego, ale wśród tych zapożyczonych melodyi płynie dźwięk silny i oryginalny, płynie talent prawdziwy, spowity w noc melancholii. Czasem zdaje się p. Tetmajerowi, że ta noc nie ma już końca i wtedy śpiewa swoje „Credo“ ponure, drwiące z ludzkich wysiłków i dążeń:

„Jutro? Nie wierzę, aby lepiej było,
„I nie zazdroszczę już tej wiary dzieciom.
„Po co się łudzić? Wydarte stuleciom
„Posępne, smutne, zimne doświadczenie
„Złudzeniom wszelkim na czole wyryło.
„Śmierć i nicestwo...“ zabiło złudzenie.

„Jutro? To jutro? Jutro marzyciele
„Przeklinać własne swe będziecie próby
„Nowe zło w nowem odkrywając ciele.“

A więc błędne koło bez wyjścia, ból w coraz innej formie, treść zawsze równa i posępna. Są jednak w tej głuchej, beznadziejnej nocy chwile błysków i przeczucia switów. Duch zasłuchany w pomruk burzy społecznej, zrywa się i wyciąga ręce ku zwiastunom przewrotu. Może w tych wulkanicznych dreszczach jest ziarno życia jaśniejszego, może w tym „brzęku młotów o bagnety“ jest wróżba zmartwychwstania, może ta matka, która w bólach leży, wyda z łona krwawego „bytu odkwit świeży...“ To przeczucie burzy jest znamiennym rysem twórczości młodszych poetów. Jakiś dziwny niepokój, niby krążenie ptaków przed nawałnicą, szemra w ich śpiewie, jakiś strach nieomal mistyczny ogarnia całą drużynę, a w posępnych wróżbach są blaski nadziei, rezygnacya lub rozkoszny dreszcz. Słychać tę nutę w poezyach Kasprowicza, słychać ją w mglistych tęsknotach Tetmajera, ale w pierwszych jest ona owocem „miłości miljonów“, skutkiem refleksyi, konsekwencyą programu społecznego, — w Tetmajerowskich poezyach natomiast więcej pragnieniem wzruszającej nowości, śpiewem duszy zmęczonej monotonją i bezbarwnością życia. Kasprowicz upatruje w burzy nieubłagany rezultat elektryczności w chmurach nagromadzonej, a jeśli wita ją błogosławieństwem, to pieśń jego rozbrzmiewa potężną wiarą w orzeźwiające i odradzające działanie rozhulanych żywiołów, w rozkwit nowego życia na tej smutnej ziemi; i Tetmajer mówi nam o ludzkości bólach i on woła zniszczeń anioła, aby na gruzach starego gmachu kwiat szczęścia wyrósł Paryasom, ale w muzyce rytmów jego słychać wyraźniej dźwięk nerwów, spragnionych wzruszeń nieznanych. Jego zachwyca poezya gromów i błyskawic, jego przejmuje tęsknota za ubarwieniem nudy istnienia. Samowiedza własnej martwoty dręczy go, wrażeń więc, wrażeń piorunowych łaknie, aby rozpędzić na cztery wiatry te mgły, które wilgotną zasłoną ducha upowiły, że się tak skurczył i senny, tęskniący, rozbolały wlecze swe skrzydła po ziemi. Szerokiego podkładu społecznego nie ma w Tetmajerowskich poezyach. Jest to poeta nerwów, śpiewak własnego bólu i przesytu, muzyk chwili i nastroju. Ztąd energja życia, altruistyczne porywy, wiara w ewolucyjny pochód ludzkości są krótkim tylko i przelotnym błyskiem. Jest to gasnąca lampa. Płomyk zadrga nerwowo, a potem noc czarna, bez końca. I wtedy wśród gęstwiny żałobnych cieni słychać krzyk rozpaczliwy. Niekiedy ostry, syczący, niby kropla wody na rozpalonej płycie metalicznej, niekiedy głuchy, astmatyczny jak oddech znużonego wędrowca, a czasem tak cichy i rzewny jak skarga dziecięcia, które strudzone życiem wraca do rodzinnej chaty i tuląc się do kolan matki szepce żałośnie: Pozwól mi usnąć.

* * *

A gdy już wszystko mgłą się zasnuwa i barwy życia pobladły, gdy sennej głowie marzy się boleśnie, że świat jest pustką bezdenną i próżnią nieskończoną, wtedy w tej ciszy martwej i szarym półmroku zjawia się widmo białe — kobieta. Nie ta, co „z tęczy wyszła i z potoków piany“, nie ta utkana z nadziemskiej jasności, z zapachów liljowych i mgieł porannych, lecz piękne, obnażone, lubieżne jak postacie Rubensa, zwierzę ludzkie. I wtedy to ogarnia poetę przesytu dziki szał zmysłowy, wtedy klęka przed Ledą Michała Anioła i po raz drugi pędzlem słów płomiennych ciało jej maluje. Albo wyciąga ręce namiętnie ku Afrodis greckiej, gdy w słońcu suszy ciało swoje białe, a „rozszalałe z rozkoszy“ Zefiry

„Ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
Całują piersi jej i szyję i ramiona,
W rozkosznych kładą się zagięciach i lubieżne
W lotny okrążą tan jej udo smukłe, śnieżne,
Zwolna się suną wzdłuż jej pełnych biódr, a potem
Ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym zwrotem.“

Ten czar zmysłowych upojeń oto jedyna wartość życiowa, która z wszystkich skarbów młodości została poecie. Czarem tym poi on utwory swoje, a obok prześlicznych „*Zamyśleń*“, te właśnie poezye stanowią może najpiękniejsze i najprawdziwsze klejnoty zbiorku całego. Jest tam takie rozpłynięcie w lubieżnej pieszczocie, taki bezkres pożądań, a przytem taka misterna rzeźba, muzyka pocałunków, półsenne dźwięki, słoneczne lub półmroczne kolory, że zdaje się Corregio i Makart barw z palet swoich użyczyli poecie.

I nie wiem sam czemu to przypisać, że tej głębi przejęcia, tego namiętnego ukochania, tej szczerości zachwytu szukam niekiedy naprożno w Tetmajerowskich poezyach przyrody, lubo kołyska jego stała w najpiękniejszym zakątku polskiej ziemi i zaglądały do niej turnie w fantastyczne poszarpane kształty i dzikie uroczyska głazów i zaduma lasów tatrzańskich i jak z ba-

---

Gdy mu przynoszą raki, bada najpierw jakiego są rodzaju: żeńskiego czy męskiego, i jeżeli jest zadowolony, rozpoczyna natychmiast wspaniały akt jedzenia. Zakłada serwetę jednym rogiem pod brodę, kładzie przy talerzu dwa kawałki chleba z masłem i serem, nalewa jeszcze jednę szklankę piwa i jeszcze pół kieliszka wódki, bierze mały, ostry nóż do raków, i bitwa rozpoczyna się na dobre. Niema prawie drugiego człowieka w Szwecyi, któryby tak dobrze umiał rozbierać raki — najpierw robi jedno cięcie i ssie z otworu, twierdzi on zawsze, że ten sok jest najdelikatniejszem z całego raka. Następnie oddziela pierś od reszty tułowia, gryzie znowu skorupkę i ssie mocno, w końcu zjada małe nóżki jak szparagi. Teraz trochę kminku, trochę piwa i kawałek chleba. Po starannem obraniu wielkich nożyc i wysaniu małych, zjada mięso i zabiera się do szyjki. Gdy w ten sposób są trzy raki zjedzone, wypija wódeczkę i kolacya skończona. Potem czyta „Pocztę“.

To się powtarza już od lat dwunastu i powtarzać się pewnie będzie przez wiele jeszcze lat!

Mając lat dwadzieścia zaczął profesor uczęszczać do tej restauracyi, teraz miał trzydzieści i dwa. Kelner Gustaw zaś był tu już od dziesięciu lat, a zatem dawniej, niż obecny jej właściciel, który ją objął w posiadanie dopiero przed ośmiu laty. Profesor widział tu już wiele stałych gości, jedni wytrzymali dwa, trzy lata, ale potem znikali jeden za drugim, albo poszli do innej restauracyi, albo się wyprowadzili, albo się i ożenili.

Pomimo, że profesor ma dopiero trzydzieści i dwa lat, zdaje mu się, że jest bardzo starym. Restauracya jest jego właściwym domem, w mieszkaniu swojem bowiem na Ladugardslandet sypia tylko i pija rano kawę.

O dziewiątej udaje się do małej sali, gdzie mocny toddy (puncz szwedzki z samego prawie araku) czeka na niego. Jeden z jego nielicznych przyjaciół, właściciel księgarni, przychodzi tu także codziennie i gra z nim w szachy, albo rozmawia z nim o literaturze. O wpół do jedenastej ukazuje się trzeci towarzysz — jest to drugi skrzypek z teatru królewskiego — pewien stary Polak, który w r. 1864 szukał w Szwecyi schronienia, i który teraz tem, czem się dawniej bawił, musi sobie zarabiać na chleb. Stary Polak i księgarz mają każdy przeszło pięćdziesiąt lat i obchodzą się z profesorem tak, jak gdyby tenże był w ich wieku.

Za bufetem siedzi gospodarz, dawniejszy kapitan okrętu: był on raz w Vorsalon, zakochał się we właścicielce restauracyi i postanowił połączyć swoje losy z losami pięknej wdówki. Żona jego panuje w kuchni, ale zostawia zawsze okienko do pokoju otwarte, aby mogła pilnować męża. Gdy gaz bywa zgaszony a łóżka przygotowane, wtedy dostaje on pełną szklankę toddy — aby lepiej spał.

O jedenastej przychodzą zwykle młodsi mężczyźni, zbliżają się ostrożnie do bufetu i pytają, czy mogą dostać osobny pokój. Potem słychać szelest sukni, ktoś przechodzi cichutko przez garderobę, aby niepostrzeżenie wejść na górę.

— No i cóż — mówi księgarz, biorąc to za temat do rozmowy — czy nie myślisz się rozkrzewić, stary kwiatku?

— Nie mam odpowiednich ku temu środków — odpowiada profesor Blom. — Ale czemu ty się nie żenisz?

— Któżby mnie chciał! — woła księgarz wzdychając smutnie. — Moja głowa stała się już podobną do pudła ze skóry psa morskiego. Zresztą ja mam moją starą Stawę!

Stawa była mistyczną istotą, w którą nikt rzeczywiście nie wierzył. Była ona uosobieniem niespełnionych marzeń księgarza.

— A pan Potocki? — pytał dalej profesor.

— O, pan Potocki był żonatym, czy to nie dosyć! — zawołał księgarz.

Stary wdowiec kiwał głową jak metronom i mówi, łamiąc ciągle jeszcze szwedzki język:

— Tak jest — miałem żonę i byłem bardzo, bardzo szczęśliwy, ja — przerywa sobie jednak nagle, popija swój toddy i po chwili kończy: Byłem bardzo szczęśliwy! Ho! ho!

mentu i niefortunny aspirant do teki ministeryalnej. człowiek mający pewne zasługi) miał on zawrzeć ten związek na Malcie, w czasie gdy jako kapitan fregaty stacyonował tamże z swym statkiem.

Podróż, jaką księżna Walii odbyła z synem na yachcie po wodach morza Środziemnego krótko przed ogłoszeniem zaręczyn, miała mieć na widoku ugłaskanie amerykanki i skłonienie jej do milczenia. Znam rozsądnych anglików, którzej tej baśni, nadającej się do operetki, dają wiarę.

Najoryginalniejszem jest, że gdyby te klechdy były prawdą, nic nie byłoby stanęło na przeszkodzie księciu Jerzemu do pojęcia za żonę księżniczki Teck. Istnieje bowiem w Anglii prawo — ukute zdaje mi się na prędce ku użytkowi któregoś z Jerzych — na mocy którego król lub następca tronu może równocześnie mieć dwie prawne żony (sic).

Jak godzi się to z przepisami kościoła, nie mam wyobrażenia. Dość. że różnica w rytuale polega na tem, że przy ślubie książę podaje przyszłej królowej rękę prawą, morganatycznej żonie zaś lewą. Atoli twierdził ktoś, że ci panowie zwykle obywają się bez podawania lewej ręki. bo mogło by to pociągnąć za sobą różne ceregiele i koszta, natomiast serca swe najmiłościwiej dzielą w kawałki i rozdzielają nawet pomiędzy takie dostojne poddanki, które prawą rękę podawały już komu innemu. a obie wyciągają do — wysokości. No ale mają prawo mieć dwie żony, podczas gdy pospolity śmiertelnik obwiniony o bigamią wędruje prościutko do kozy.

Szkoda, żem wybrał sobie już zawód. bo bądź co bądź nie ma to jednak jak być królem.

Nobody.

---

# NA WYŁOMIE.

(Zwycięstwo stronnictwa ludowego. Dwa zebrania. Apel do zgody. W sprawie konkursowego dzieła o Karolu Marcinkowskim).

Spełniły się przeczucia moje. W wyborach do sądu procederowego zwyciężyło na całej linii stronnictwo ludowe. — zwyciężyli obywatele, którym na długiej czasu przestrzeni odmawiało się patryotyzmu, ciskało w oczy pogardę, klątwy dekanalne i urągania cyniczne. Tam, gdzie zwarte siły Polaków nie zdołały w latach dawniejszych wydrzeć palmy pierwszeństwa niemieckiej konkurencyi, tam dzisiaj zrywa się do walki wyklęty hufiec i rzuciwszy zarówno rękawicę germańskiej jak polskiej opozycyi odnosi walne zwycięzstwo. Cóż teraz poczniecie panowie „ładu i porządku“? Jesteście komitetem *legalnie* wybranym, ale większość obywateli podnosi protest i protest ten stwierdza czynem zwycięzkim. Nuciliście narodowi *o garści* obałamuconych fanatyków, a garść ta okazuje się dzisiaj *potęgą*. Odmówiliście stronnictwu ludowemu charakteru *narodowego*, a dziś musicie uznać ruchu tego *narodowe* zwycięstwo.

Oto kwestye nasuwające tysiące dziwnych myśli, wątpliwości i przeczuć. Coś się w tem społeczeństwie dzieje, czego dokładnie nikt jeszcze nie zrozumiał, coś się łamie, krystalizuje i jakaś nieobliczona siła wyłania się w zgrzybiałej i zmęczonej krainie. Dla ludzi niezaślepionych stronniczą nienawiścią odsłoniło oblicze ostatnich zebrań przedwyborczych jakieś mgliste jeszcze, ale charakterystyczne widmo przyszłości, — coś niby prolog dziejowego jutra. Wchodzę na salę pana Adamskiego, gdzie komitet legalny powołał „mężów ładu i porządku“, aby ułożyć plan kampanii wyborczej i dla kandydatów swoich przygotować krzesła w sądzie procederowym. Przybywam kwandrans po oznaczonej godzinie i widzę garstkę złożoną z trzydziestu ludzi, a wśród nich połowę dziennikarzy i członków komitetu. Na sali panuje jakaś senność starcza, obrady toczą się z piętnem wysilenia na czole, dyskusya haczy się, urywa, — brak zapału i wiary w zwycięztwo. W komitecie, złożonym zresztą z ludzi zasłużonych i rozumnych, czuć jakiś cichy niepokój, zawstydzenie i ambaras. Prezes i wiceprezes starają się rozbudzić śpiącą gromadkę, ale na sali milczenie, jakieś dziwnie głuche i cmentarne. Ktoś głos podnosi, ale po chwili znów cisza, wyczerpanie i sen. Po półgodzinnej męczarni kończy się posiedzenie. Opuszczam duszny przybytek i całą piersią oddycham; zdaje mi się, że za mną sterczy jakieś ponure zamczysko. Wszystko tam stare i zgrzybiałe, — ludzie, księgi. pojęcia, meble, tapety, — wszędzie próchno i rozkład i pleśń. Chwila jeszcze i runie. A w miejsce jego huf nowych ludzi wzniesie jakiś dom jasny i silny, gdzie życie tętni i ruch.

Spoglądam na zegarek — za kwadrans dziewiąta. I wzięła mnie chęć nieprzezwyciężona zajrzeć w oblicze tym nowym ludziom, — tym wyklętym. Mam dziwną sympatyę dla potępionych; mianowicie dla tych, którym „Dziennik Pozn.“ i „Kuryer“ budują stosy i pręgierze. Idę więc. Sala saskiego hotelu nabita po same brzegi. Z daleka już słyszę pulsujące życie. Spoglądam . . . . widzę tłum przemysłowców, czeladzi i majstrów, . . . wszystko to w skupieniu słucha ożywionej dyskusyi, ludzie natarczywie domagają się głosu, raz po raz ktoś nieparlamentarnie krzyknie lub protestuje, obrady toczą się raźnie. rzeczowo i płynnie. Wsłuchuję się coraz uważniej w to młode życie ludu naszego i zdumiony jestem znajomością przedmiotu, temperamentem dyskusyi, zapałem patryotycznym i ufnością w sił własnych zwycięstwo. Ktoś tam odzywa się o potrzebie zgody i solidarności: „My jej pragniemy, odpowiadają, ale zdeptano nas tyle razy, że na łaskę i niełaskę nie poddamy się nigdy. Pierwsi ręki do zgody nie wyciągniemy. Niech oni zbliżą się do nas! wtedy pomówimy“. I cisza. Żaden protest już się nie odzywa . . . to armia przejęta wiarą w świętość własnej sprawy, zorganizowana świetnie. karna i posłuszna. A wodzowie? Byłem do nich zawsze uprzedzony; odtrącali, mnie jakąś plebejuszowską szerokością i bezwzględnością, jakimś niezdrowym, dziwacznym lojalizmem, brutalną taktyką, ochlokratycznemi zakusami i fajerwerkami haseł demagogicznych, — lecz tu na zebraniu przedwyborczem stali przedemną jak wytrawni, w boju ostrzelani żołnierze. Na stole widziałem plan bitwy. wypracowany w najdrobniejszych szczegółach, każdy z przywódzców znał teren na którem rozstrzygać się miały losy kampanii, każdy umiał iskry zapału roznīecać, oceniał duszę armii swojej, liczył się z ludzkiemi słabościami, potęgował przymioty, grał na sercach żołnierzy. Wszystko znalazłem przygotowane, gotowe do boju. Tak! Tu była młodość i siła, — tu było zwycięztwo.

I zdało mi się nagle, że ten błędny ognik secesyi rośnie w pożar i światło olbrzymie. To już nie produkt ambicyi jednostek, nie tłum obałamuconych krzykaczy, lecz jakiś ruch potężny, którego nikt nie stłumi i żadna nie zgłuszy ambona. Wiele tam sztucznej ekstazy i podniecenia, ale po za tem jądro zdrowe, krew młoda, dłoń żelazna i gorące serce.

Odtrącać te świeże, niezużyte siły byłoby szaleństwem, a wszelka zatwardziałość stronnicza musiałaby wydać zgubne dla narodu owoce. Wiem dobrze, ile fałszywych akordów było w uwerturze naszego społecznego przełomu, wiem, że win niemało obciąża sumienie hardych „buntowników“, ale wiem również, że każda emancypacya odbywa się w akompanjamencie nadużyć, wybryków i szaleństw. Nam nie rzucać kamieniem potępienia tam, zkąd do starego organizmu nowe soki napłynąć mogą, lecz wyciągnąć rękę do zgody serdecznie, bez uprzedzeń, bez Imperatywu kapitulacyi, niosącą różczkę oliwną pokoju i owoce *ustępstwa*. Bez koncesyi *z jednej i drugiej* strony łańcuch zerwany nie złączy się nigdy, a to rozdarcie społeczeństwa nie dziś to jutro grozi nam klęską w zapasach z germańskim żywiołem. Od wyborów do rady miejskiej już przestrzeń krótka nas dzieli, a jeżeli w ostatniej godzinie nie zdołamy połączyć dłoni zwaśnionych, to „Rynek“ Niemiec zdobędzie. Nie lękam się o Chwaliszewski okręg, bo tam kandydat ludowego stronnictwa niewątpliwe odniesie zwycięstwo, ale „serce Poznania“ zdobyte w ubiegłym roku z wytężeniem wszystkich sił narodowych, paść musi w obec rozdarcia polskich wyborców pod naciskiem niemieckiego natarcia. Świeże wypadki w Jarocinie i Jaraczewie to wróżba posępna i ostatnia przestroga. „Rynek zdobyty!“ wołały dumnie pisma nasze w ubiegłym roku, — „Rynek stracony“ czytać będziemy w nekrologach przyszłej kampanii.

* * *

Odezwy naszej w sprawie funduszu konkursowego na dzieło o Karolu Marcinkowskim nie ogłosiło żadne z czasopism poznańskich z wyjątkiem „Gońca Wielkopolskiego“. Zapisujemy ten smutny objaw wyuzdanej stronniczości, sięgającej trującem tchnieniem nawet w dziedzinę humanitarną, pozbawioną wszelkiej barwy politycznej. Mścijcie się na nas — to prawo wasze, którego nikt wam nie odmawia, — ale nie mścijcie się na pamięci wielkiego męża, jednego z najlepszych i najjaśniejszych duchów opiekuńczych, któremu pomnik literacki zbudować pragniemy.

*Sulla.*

---

# Notatki statystyczne.

W podręczniku statystycznym Hübnera na rok 1894 („Geographisch-statistische Tabellen aller Länder der Erde“), wydawanym przez prof. Juraschek'a znajdujemy następne cyfry, bliżej nas interesujące.

Ludność Galicyi obliczoną tu została na 6.757.918 głów; w stosunku do powierzchni kraju wypada 85,5 mieszkańców na 1 kilometr kwadratowy. Według narodowości licząc, Polaków znajduje się w Austryi 3.719.000, co stanowi 16 procent ludności państwa, Rusinów 3.105.000 tj. 13 procent. — Ludność W. Ks. Poznańskiego wynosi 1,751,642 (60,5 miesz. na 1 kil. kw.). Wyemigrowało ztąd w r. 1893: 7,665 osób. W rubryce narodowości w obrachunku podręcznika przypada na język polski w Prusach Polaków 2,816,657; Litwinów 121,345, Mazurów 105,754, Kaszubów 55,549.

Pod panowaniem rosyjskiem liczba Polaków wynosić ma okrągłe 7 milionów. Królestwo Polskie ma ogółem ludności 8.000.418 (70 mieszkańców na 1 kilometr kwadratowych). Według tego obliczenia ludność polska pod trzema zaborami wynosi 13.535.657 (bez Litwinów, Mazurów, Kaszubów, Żydów. i t. d.)

O stanie kultury w poszczególnych krajach mówią następne cyfry: W r. 1892 na 1,000 rekrutów było analfabetów: w Szwecyi 1,2; w Niemczech 38; w Danji 54; we Francyi 87; w Austryi 154; w Rosyi 708. Na 1,000 osób ogólnej ludności wypadało analfabetów w Finlandyi 19. w Danji 20 w Szwajcaryi 21, w Austryi 401, w Serbii 916 (o Rosyi statystyka nie ma danych).

Na 10,000 ludności — uczniów w szkołach elementarnych miały: Finlandya 1,861, Francya 1,648, Szwacya i Norwegia 1,588, Szwajcarya 1,579, Niemcy 1,576, Anglia 1,507, Austrya 1,341, Hiszpania 1,095, Włochy 885, Rumunia 441, Serbia 338, Rosya 290.

Niemniej charakterystycznym jest stosunek liczbowy linii kolejowych do powierzchni kraju.

Na 10,000 kil. kw. powierzchni przypadało w r. 1892 kilometrów linii kol.: w Belgii 1,843, w Anglii 1,040, w Niemczech 820, w Szwajcaryi 819, we Francyi 737, w Austryi 557, we

Włoszech 488, w Hiszpanii 219, w Serbii 112, w Rosyi zaś tylko 50.

Wymowne są również cyfry, z ruchu pocztowego wysnute. W r. 1892 na 100 miesz przypadało

| | gazet | listów | depesz |
|---|---|---|---|
| w Szwajcaryi | 2,999 | 3,552 | 124 |
| w Anglii | 424 | 5,334 | 186 |
| w Danii | 2,564 | 2,358 | 75 |
| w Niemczech | 1,830 | 3,256 | 60 |
| w Szwecyi | 1,338 | 1,403 | 42 |
| we Francyi | 1,086 | 1,779 | 100 |
| we Włoszech | 432 | 744 | 28 |
| w Austryi | 402 | 2,230 | 42 |
| w Rosyi | 124 | 214 | 10 |

## KRONIKA LITERACKA.

**Kwartalnik historyczny**. Organ Towarzystwa historycznego założony przez Xawerego Liskego pod redakcyą Oswalda Balzera. Rocznik VIII. Zeszyt I, II i III. Lwów 1894 w 8ce maj. str. 199, 201—390 i 391 do 591.

Jedyne to u nas i pomyślnie się rozwijające, chociaż nie dosyć rozpowszechnione pismo poświęcone historyi i jej naukom pomocniczym rozpoczęło ze styczniem b. r. ósmy rok bytu. Główna część jego (dział trzeci) zajmuje jak dawniej przegląd literatury historycznej polskiej i obcej, o ile odnosi się do historyi polskiej. W wstępnym dziale mieszczą się dłuższe rozprawy, wśród których wyszczególnia się naczelna rozprawa krytyczna prof. A. Małeckiego p. t. Kronika Baszka, czyli t. zw. Wielkopolska kronika. Wynikiem jej ostatecznym, iż kronika ta jest tylko dziełem Baszka, że druga część jej pierwej została ułożona, niż pierwsza, a biskup Bogufał nie miał w pisaniu jej żadnego udziału, że wreszcie życie Baszka kronikarza przeciągnęło się aż do roku 1297. Następuje po niej dłuższa rozprawa dra W. Czerniaka: Młodość Jerzego Lubomirskiego (1616—1636). Jest to ustęp z przygotowanej do druku obszernej biografii Lubomirskiego, do której autor robił obszerne poszukiwania w archiwach wiedeńskich, berlińskich, watykańskich, czerpał z paryskich (z Tek ś. p. Lukusia). Zeszyt drugi przynosi nam sprawozdanie obszerne z części II-iej wspaniałego dzieła Karolą hr. Lanckorońskiego: Miasta Pamfilii i Pizydyi (Kraków 1894). Dr. P. Bieńkowski omawia w nim przebieg, znaczenie i plony obfite dla nauki wyprawy archeologicznej urządzonej kosztem i pod przewodnictwem hr. L., a z współudziałem prof. Niemanna. Sokołowskiego, Petersena i. i. w latach 1884 i 1885-tym do Azyi Mniejszej. Następnie ks. dr. J. Buczyński podaje jako „Przyczynek do dziejów rokoszu Zebrzydowskiego“ ustęp z nieogłoszonej dotąd współczesnej kroniki kalwaryjskiej, który w zgoła odmiennym świetle przedstawia osobę i działalność Zebrzydowskiego tudzież złączony z jego imieniem rokosz. W trzecim wreszcie zeszycie prof. Antoni Małecki w rozprawie p. t. Ludność wolna w księdze Henrykowskiej wyzyskuje księgę tę jako nieocenione źródło do poznania stosunków społecznych w Polsce XII i XIIIgo wieku, a prof. A. Lewicki w rozprawie p. t. Kiedy Witold został wielkim księciem Litwy? przychodzi do wniosku (na podstawie źródeł w znacznej części wydanych przez autora w „Codex epistolaris saec, XV), iż Witold nie już w r. 1392 (jak dotąd mniemano) na mocy ugody ostrowskiej wyniesiony został do godności wielkiego księcia Litwy, lecz że dopiero w r. 1401 nadano mu wielkie księstwo z ramienia króla i Polski, ale tylko jemu samemu i tylko do końca jego życia, po jego śmierci zaś miało wszystko powrócić do dawnego stanu.

Nadzwyczaj ciekawe są zamieszczone w dziale drugim „Miscellanea“ krótsze artykuły: E. Pawłowicza „Biblioteka hr. Tyszkiewiczów w Wilnie“ wyliczający szczegółowo zabytki rękopiśmienne i archiwalne tejże biblioteki, A. Kraushara „Stefan Batory w sprawie walk o niepodległość Niderlandów (1586 r.), podaje nieznany dotąd a ważny do dziejów polskich i powszechnych fakt wmięszania się polskiego króla w sprawy niderlandzkie na podstawie listu Batorego do stanów generalnych niderlandzkich adresowanego z kodeksu Biblioteki królewskiej w Dreźnie napominającego zbuntowanych podówczas przeciw królowi Filipowi II hiszpańskiemu Niderlandczyków do poddania się i uległości swemu prawowitemu władzcy. Tegoż autora „Nieznana relacya o śmierci Zygmunta Augusta (1572“, relacya w zbiorach Świdzińskiego odnaleziona, a potwierdzającą smutny a przez Szujskiego w wątpliwość podany opis zamętu, jaki na dworze knyszyńskim w chwili zgonu króla panował. Edwarda Porębowicza: „Notatki do biografii J. A. Morsztyna“ podają wiadomość o kilku dokumentach znajdujących się w Archiwach narodowych w Paryżu tyczących się poety, a z których najciekawszy dyplom na sekretarza królewskiego w całości podaje. Oprócz tego mamy tu A. Prohaski „Przyczynek do dziejów gry w karty w Polsce“, świadectwo, że już pod koniec XVIgo wieku rozpowszechnioną u nas była na wschodzie, w ziemi halickiej, ta gra towarzyska, artykuł polemiczny prof. Starzyńskiego „Jeszcze o konstytucyi trzeciego Maja“ obszerną odpowiedź na recenzyą dra A. Rembowskiego dzieła jego p. t. Konstytucya trzeciego Maja na tle współczesnego ustroju państw europejskich, zamieszczoną w IV zeszycie z r. 1893, wreszcie jako „Przyczynek do literatury Mickiewiczowskiej“ notatkę Władysława Wszelaczyńskiego o broszurze drukowanej we Wrocławiu 1785 r., w której niewiadomy autor umieścił na końcu bajkę na temat sprzeczki męża z żoną, która ma być „niewątpliwie pierwowzorem“ powiastki Mickiewicza „Golono, strzyżono“. Dowód ten jednakże, a raczej przypuszczenie tylko zdaniem naszem chybiony. Jeżeli w ogóle w druku szukać nam należy pierwowzoru powiastki Adama, w takim razie prędzej posłużyć mu mogła fraszka zamieszczona pod tymże tytułem w „Jovialitates“ Wacława Potockiego, aniżeli w nieznanym zkąd inąd druku wrocławskim. Po dziale trzecim „Recenzyi i sprawozdań“ następuje „Przegląd literatury zagranicznej“ podany przez dra L. Finkla oraz „Przegląd czasopism“ niestety w ostatnich czasach do zbyt skromnych ograniczony tylko zapisek bibliograficznych, wreszcie sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa i działalności kółek naukowych na prowincyi.

J. Wysocki.

## KRONIKA POWSZECHNA.

**Wiadomości społeczne i polityczne**. W Warszawie aresztowano znów kilkadziesiąt osób z wyższej inteligencyi. Zarzucają im zbieranie składek na ubogie rodziny zesłanych do wschodnich i północnych gubernii Polaków. — „Alldeutscher Verband“ uchwalił na walnem zebraniu w Berlinie kilka antipolskich rezolucyi, graniczących niemal z obłędem. Między innemi żąda wszechniemiecki związek: 1. aby polskie dzienniki polityczne wychodziły w dwóch językach, 2. aby wykluczono kandydatów polskich przy rozdzielaniu włości rentowych, 3. aby zakazano wszelkich wyłącznie polskich napisów, plakatów, szyldów i t. p., 4. aby rozszerzono działalność komisyi kolonizacyjnej na Prusy Wschodnie i Szląsk. Autorem tych genialnych projektów, przewyższających nawet rosyjski ucisk jest niejaki Dr. Lehr.

**Teatr i muzyka.** W krakowskim teatrze przyszło znowu do niemiłych zaburzeń. Gdy układy dyrekcyi z panem Kotarbińskim spełzły na niczem i znienawidzony Lubicz otrzymał się na dawnem stanowisku, urządziła publiczność w czasie przedstawienia głośną demonstracyą. Skoro kurtyna się podniosła, odezwały się gwizdania i okrzyki: Precz z Lubiczem! a równocześnie zasypano scenę gradem jaj i kartofli. Policya lubo przygotowana na demonstracyę z trudem tylko przywróciła porządek. — W paryzkim „Porte dt. Martin“ zapowiedziano „Tyberyusza na Capri“ St. Rzewuskiego. — Teatr polski w Poznaniu rozpoczyna sezon zimowy 16 września sztuką Jordana „Myszy bez kota“ i operetką „Bęben“. W składzie artystów zaprowadziła dyrekcya pewne zmiany. — P. Jakób Glikson, b. dyrektor teatru krakowskiego, zakłada tam obecnie, jak z Krakowa donoszą „Kuryerowi Codziennemu“ drugi prywatny teatr.

**Zjazdy i kongresy** W czasie od 1 do 6 października odbędzie się w Medyolanie kongres dla ubezpieczenia od wypadków nieszczęśliwych. — W Genewie otwarto kongres orjentalistów, w którym uczestniczą przedstawiciele 14 rządów i 96 uniwersytetów. — W Peszcie odbywa się ósmy międzynarodowy kongres hygieniczny. — W dniu 16 września odbędzie się zjazd Sybiraków we Lwowie.

**Wystawy**. W Petersburgu odbędzie się wielka wystawa pomologiczna. Bogatym będzie mianowicie oddział francuzki. — Na urządzenie wystawy w Niżnym Nowogrodzie skarb państwa rosyjskiego wypłacił 4,221,200 rsr. — Towarzystwo „Fauna“ urządziło w Lipsku wystawę owadów. — W Hanowerze odbyła się wystawa ptaków domowych i przedmiotów służących do hodowli ptactwa.

**Wir Deutsche fürchten Gott, sonst niemand in der Welt**. Z powodu militaryzmu Prusaków zamieszcza „Kraj“ petersburski następujący dowcipny wierszyk:

Powiedział prusak, kiedy raz żądzą
Sławy męczyła go sroga,
Że z nieprzyjaciół drwi sobie, tylko
Jednego boi się Boga.

Dziś ołowiany garnitur zwiększa
Snadź obawiając się guzów,
Więc widać z tego, że oprócz Boga
Boi się trochę... francuzów.

**O stanie Cesarego Lombroso** nadchodzą z Włoch bardzo niepokojące wieści: głośny antropolog, który mieszka w Voltaggio, ma lat 58.

### Zmarli:

**Prof. Helmholtz**, znakomity uczony niemiecki, ur. w r. 1821 w Poczdamie, zm. 8 września w Berlinie. Obszerny życiorys zamieścimy w przyszłym numerze.

**Henryk Bruksch-Pasza**, jeden z najznakomitszych współczesnych egiptologów, zm. w Charlottenburgu.

**Prof. Dr. Exner**, jeden z najznakomitszych prawników austryackich.

## BIBLIOGRAFJA.

**Albert Sołtan.** Niema mety ki! Obrazek z życia ludu podolskiego. Lwów 1894. Cena 3,20 złr.

**Tenże**. Zawiedziona nadzieja. Powieść współczesna. Warszawa 1894. Cena 2,56 mr.

**Choiński T. J.** Na schyłku wieku. Studyum. Warszawa 1894, Cena 3,85 mr.

**Duchińska Seweryna.** Wspomnienia z 29-letniego pożycia z mężem moim (1864—1893). Paryż. Drukarnia A. Reiffa 1894. Cena 4 mr.

**Hahn Wiktor.** Przyczynek do genezy Maryi Jul. Słowackiego (Odbitka z Ateneum). Warszawa 18.. Cena 0,80 mr.

**Hoesick Ferdynand**. O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu. Studya historyczno-literackie. Kraków 1895. Cena 3,00 mr.

## Odpowiedzi Redakcyi.

**Księdzu prob. N. N.** Zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. Za słowa uznania przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać!“ Skrupuły księdza Dobrodzieja rozumiemy zupełnie w naszych smutnych stosunkach i sekretu dochowamy.

**A. N** Pragniemy uniknąć dalszej polemiki w tej kwestyi i dla tego sympatycznego listu nie ogłosimy. Zapewniamy tylko, że artykuł wiadomy znalazł ogólne potępienie.

**Marya S.** Życzeniu Pani stanie się zadość. Recenzyą książki Koźmiana zamieścimy w przyszłym numerze.

**Dr G. w K.** Numery żądane widocznie zaginęły na poczcie. Wysłaliśmy po raz drugi. Na inne pytania odpowiemy listownie w przyszłym tygodniu.

**Anna.** 1. Autorem dowcipnego wierszyka: „O mulieres! mulieres po djable z wami interes“, jest Ignacy Chodźko. Drugi wierszyk: „Lat piętnaście kiedy minie, nie ma co wierzyć dziewczynie“ jest o ile sobie przypominam utworem Zabłockiego. 2. Adres wiadomy brzmi: „Suisse. Genève. Societé internationale des étudiantes.

**Dr. P.** Pisze się „wziąć“ nie „wziąść“, — „biuro“, nie „bióro“.

**Jednemu z uczestników.** Ośmielamy się wyrazić przypuszczenie, że za firmą „uczestnika“ kryje się uczestniczka. Prosimy uprzejmie wybaczyć, że listu nadesłanego nie ogłosimy, ale musielibyśmy w odpowiedzi odsłonić pewne szczegóły, które chwilowo jeszcze pragniemy pozostawić w ukryciu.

## Składki

**na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o życiu Karola Marcinkowskiego** złożyli:

| | | |
|---|---|---|
| Mecenas Pluciński | 20 | Marek |
| budowniczy Frankiewicz | 5 | „ |
| Karol Rzepecki | 10 | „ |
| Fr. S. | 3 | „ |
| Razem | 38 | Marek |

Z sumą 200 marek ofiarowaną przez p. Niesiołowskiego i składkami z ubiegłego tygodnia zebraliśmy dotychczas 324 mr. O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.